MAGAZYN

Uczeń z nożem w ręku. Seria ataków w polskich szkołach
– Str. 20-21

Już w szkołach trzeba uczyć odpowiedzialności za słowo
– Str. 22-23

Telemagazyn z programem telewizyjnym i zapowiedziami najciekawszych programów

Nr ISSN 0137-9526
Nr indeksu 348-570
9 770137 952053 41

www.gp24.pl

Nr 235 (5993) | Nakład: 9.240 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

GŁOS POMORZA
DZIENNIK POMORZA
74 lata

Piątek, 9.10.2026

ROZMOWA „GŁOSU"
Sylwia Hille-Jarząbek, terapeutka: Nie jesteśmy w żadnym okresie przejściowym. Kobiety chcą być traktowane poważnie

KRAJ
Szkolna masakra. Uczeń z nożem w ręku. Dwa dni, dwa ataki nożowników

Relaks
Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Region

Tony zanieczyszczeń z plaż w Ustce zebrane

Urząd Morski w Słupsku poinformował o zakończeniu akcji zbierania zanieczyszczeń z plaż. Zebrano łącznie około 4,5 ton odpadów.
– Str. 3

Region

Poszukiwani specjaliści do pracy w bazie PGE Baltica

PGE Baltica poszukuje do swojego zespołu w bazie w Ustce specjalistek i specjalistów do obsługi infrastruktury przesyłu energii elektrycznej.
– Str. 4

Uniwersytet Pomorski w Słupsku ma nową stację badawczo - dydaktyczną
– Str. 4

Słupsk

FOT. UM SŁUPSK

Słupski nauczyciel wśród najlepszych w Polsce

Dr Mirosław Brozis z prestiżowym wyróżnieniem
– Str. 3

Rozmowa z prof. Wiesławem Jędrzejczakiem. Jako pierwszy w Polsce przeprowadził allogeniczny przeszczep szpiku w 1984 roku.
– Str. 29

FOT. NEWSRM.TV

Mało kto wie, że jego kompozycje grają w całym kraju

Urodził się Mińsku, ukończył tamtejszą Białoruską Państwową Akademię Muzyczną. Poznajcie Igora Jankowskiego, na co dzień organistę w koszalińskiej parafii pw. Ducha Świętego.

– Str. 7

eprasa.pl 3a1d233d4e

POLECAMY

JUTRO: Problemy z układem krążenia PONIEDZIAŁEK: Wydarzenia sportowe weekendu

9.10.2026
Piątek

Dziś imieniny obchodzą: Aaron, Abraham i Arnold
Telefon alarmowy: 112

GP24.pl GK24.pl GS24.pl

Redaktor naczelny Jarosław Jaz
Z-cy redaktora naczelnego Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka
Wydawca Ynona Husaim-Sobecka, Jarosław Jaz, Wojciech Frelichowski, Marcin Stefanowski, Piotr Polechoński
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Polska Press Makroregion Pomorze
Redakcja Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, tel. 59 848 81 00, redakcja.gp24@polskapress.pl; Koszalin, ul. Partyzantów 17, tel. 94 347 35 52, redakcja.gk24@polskapress.pl; Szczecin, Al. Niepodległości 26/U1, tel. 91 481 33 00,redakcja.gs24@polskapress.pl,
Prezes Makroregionu Piotr Grabowski
Dyrektor reklamy Ewa Żelazko
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz dnia

Tomasz Rusek:
Wydawaj lokalnie

publicysta

Bardzo mnie bawi zadyma, jaką w internecie nakręcają fani i antyfani pizzy Książula. Ludzie masowo kupują je, żeby je zjeść i skrytykować (w większości). A różnej maści dietetycy załamują ręce ile w nich soli i tłuszczu (to mrożona pizza, do cholery, nie sałatka).

Niesamowite, jak wielkie emocje mogą wywoływać dwa grube placki z dodatkami, firmowane przez gościa, który "zawodowo" zajmuje się jedzeniem kebabów, zapiekanek, kotletów i mówieniem, czy mu smakowały czy nie.

Ale nie jest to pierwsza taka inba. Pamiętam, że podobne nerwy spowodowały u niektórych lody Ekipy i napój od Wojanka.

Co - w moim życiu - łączy te trzy produkty? Otóż żadnego z nich nie spróbowałem. I - zapewniam - żyję, mam się dobrze, mój świat się nie zawalił, a kury w mojej okolicy wciąż się niosą (choć jajek z podwójnymi żółtkami faktycznie jakby ostatnio mniej). A piszę o tym dlatego, że i Wy nie musicie tego kupować. Serio. Nikt nie jest w stanie nas zmusić, byśmy naszymi ciężko zarobionymi pieniędzmi pompowali konta internetowych gwiazd i gwiazdeczek.

Zamiast tego wydawajmy nasze pieniądze w NASZYCH, MIEJSCOWYCH biznesach. W lokalnej kawiarni, pizzerii, w przytulnej jadłodajni z domowymi pierogami czy kopytkami czy lodziarni, która działa przy rynku. Gdzie właścicielami są ludzie stąd, gdzie pracują ludzie stąd. Dzięki temu nasza kasa - w części - też zostanie na miejscu.

Proste? Proste!

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Głos Pomorza"
„Głos Koszaliński"
„Głos Szczeciński"

tel. 94 340 11 14
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gp24.pl

POGODA

dziś 15°C/9°C

jutro 17°C/7°C

ROZMOWA

Nie jesteśmy w żadnym okresie przejściowym. Kobiety chcą być traktowane poważnie

Joanna Boroń

Menopauza wciąż bywa tematem, o którym mówi się półgłosem. W reklamach suplementów - owszem. W gabinetach lekarskich - czasem. Ale o tym, co naprawdę dzieje się wtedy z kobietą: z jej ciałem, psychiką, relacjami i poczuciem własnej wartości – wciąż rozmawiamy zdecydowanie za rzadko - mówi Sylwia Hille-Jarząbek, terapeutka.

FOT. NATALIA SOBIERJSKA

Sylwia Hille-Jarząbek: - Kobiety wspaniale organizują sobie swoje życie po tym, kiedy dzieci wyfruną z gniazda

We współczesnym świecie jest coraz mniej tematów tabu, ale menopauza ciągle takim tematem jest. Jeżeli o niej słyszymy, to w reklamach suplementów i jakichś leków. Mało jest takiej prawdziwej dyskusji na temat tego, co to jest, jak się czują kobiety, jak kobietom można pomóc.

To fakt, który jest niesamowicie absurdalny. Proszę zwrócić uwagę, że kobiety 40+ to jest największa siła nabywcza. To jest ta grupa kobiet, która wydaje pieniądze, więc ona powinna być naprawdę na piedestale, zaopiekowana nie tylko przez producentów suplementów na uderzenia gorąca.

Może to jest ciągle relikt dawnych lat, kiedy kobieta, która kończyła czterdzieści lat, stawała się w dawnych czasach niewidzialna? Wpadała w rolę matki, potem babci. I ciągle wpada w tę szufladę.

Jest taka teoria, która rzeczywiście nazywa się teorią babci. Mówi o tym, że matki zwiększają prawdopodobieństwo przedłużenia gatunku, wspierając dzieci córki, czyli opiekując się wnukami. Jest jeden problem - tych wnuków po prostu nie ma. Bardzo dużo kobiet, które są właśnie w okresie 50+, po prostu nie ma wnuków. Nie wiadomo, czy te wnuki się pojawią. Może pojawią się, kiedy będziemy w okresie 60+. Bywa różnie.

Ale nie sposób oczekiwać, że każda kobieta chce być tą opiekunką dzieci swoich albo wnuków. Czasy się zmieniły.

Dokładnie. Czasy się zmieniły. Kobiety wspaniale organizują sobie swoje życie po tym, kiedy dzieci wyfruną z gniazda. Jest też bardzo duża grupa pań, która absolutnie nie była zainteresowana tym, żeby swoje życie kierować na dzieci. To są osoby, które się rozwijają, poszukują nowego sposobu na życie. Wiele się zmieniło. Moja babcia, kiedy miała 55 lat, to była naprawdę babcia, taka w chusteczce, lekko zgarbiona. To była naprawdę starsza pani. Dzisiaj, patrząc na kobiety 50+, trudno powiedzieć, w jakim one tak naprawdę są wieku.

Dzisiejsze kobiety 50+ nie są już przygarbionymi paniami w chusteczce na głowie. Jednak trudno nie zauważyć zmian.

Ostatnio pewien specjalista powiedział mi, że kobiety są w okresie przejściowym. Więc zadałam pytanie: co to znaczy „okres przejściowy"? Pan by chciał, żeby o panu mówić, że jest pan w okresie przejściowym? No nie. My nie jesteśmy w żadnym okresie przejściowym.

Oczywiście, jeśli popatrzymy na zmiany, które się dzieją na poziomie biologicznym, psychologicznym i społecznym, to oczywiście, że one są. Ale jeżeli popatrzymy na to, że tranzycja menopauzalna potrafi trwać dłużej niż dekadę, to często mamy te zmiany już w okresie 40+. I to nie są zmiany, które są tylko w jednym obrębie życia, które są tylko w zdrowiu. To są zmiany w psychice kobiety. Jedna zmiana ciągnie drugą zmianę. Mamy mniej hormonów odpowiedzialnych za budowanie więzi, a zaczynamy mieć więcej testosteronu, to jest chyba logiczne, że będziemy chciały więcej. Proszę zobaczyć, że kobiety w tym okresie są po prostu dorosłe. Późna dorosłość zaczyna się po 65. roku życia. Są to osoby, które są aktywne, które podejmują działania, które - jeśli miały dzieci - często wypuściły je z gniazda. I tu się robi mnóstwo przestrzeni. Gdy ja wykorzystujemy często słyszymy niepochlebne komentarze sugerujące, że na starość coś się nam tam „poprzestawiało", że „zwariowałyśmy".

Gdybyśmy mogły sobie trochę pofantazjować o takim świecie idealnym. Co powinna usłyszeć kobieta wchodząc do gabinetu lekarza?

Przede wszystkim nie chciałabym usłyszeć: „Ma pani menopauzę", „Przekwita pani", „Jest pani w okresie przejściowym", „Czego się pani spodziewa?". A już najgorsze sformułowanie: „Taka pani uroda". Ja bym chciała, żeby ktoś mnie zapytał: „Czego pani potrzebuje teraz?". Jeśli pójdę do lekarza ginekologa, chciałabym usłyszeć, jaki mam wybór. Nie: „Proszę, to jest recepta". Albo: „Proszę sobie iść kupić coś w zielarskim". Chciałabym usłyszeć, jakie mam możliwości. Chciałabym otrzymać edukację, chociażby tylko i wyłącznie w tym zakresie. Byłoby mi niezmiernie miło, gdybym została potraktowana po prostu poważnie.

eprasa.pl 3a1d233d4e

OŚWIATA

Nauczyciel ze Słupska wśród najlepszych w Polsce. Dr Mirosław Brozis z prestiżowym wyróżnieniem

Wojciech Lesner

Dr Mirosław Brozis, nauczyciel fizyki z I Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku, znalazł się w wąskim gronie laureatów tegorocznej edycji ogólnopolskiego konkursu „Nauczyciel Roku". Podczas gali finałowej zorganizowanej w Warszawie otrzymał jedno z dwóch wyróżnień. Gratulujemy!

To docenienie wieloletniej pracy nauczyciela, który pokazuje uczniom, że fizyka może wykraczać daleko poza szkolny podręcznik. Dr Brozis od lat angażuje młodzież w projekty naukowe, które pozwalają im zdobywać wiedzę poprzez praktykę.

Jego uczniowie budują minisatelity, stworzyli szkolne planetarium, uczestniczą w programach NASA, a także odnoszą sukcesy w konkursach ogólnopolskich i międzynarodowych. Ich doświadczenie obejmuje również prowadzenie warsztatów na Uniwersytecie Stanforda.

FOT. UM SŁUPSK

Dr Mirosław Brozis na gali konkursu „Nauczyciel Roku" na Zamku Królewskim w Warszawie

Dr Mirosław Brozis rozwija także Słupską Szkołę Młodych Fizyków. Inicjatywa ma zachęcać młodzież do samodzielnego eksperymentowania, odkrywania świata nauki i zadawania pytań. Jak podkreśla nauczyciel, jednym z najważniejszych elementów pracy z młodzieżą jest praktyczna strona zajęć szkolnych.

- Staram się nie zanudzać ich na śmierć i pokazywać im, że do czegoś to im się przyda. Razem znajdujemy tę ścieżkę, że ja próbuję ich czegoś nauczyć, a oni próbują się tego nauczyć. Generalnie jest potrzebna motywacja ze strony uczniów, która jest coraz słabsza, ale próbujemy ją podtrzymać – mówi w rozmowie z „Głosem".

W gali wręczenia tytułów na Zamku Królewskim w Warszawie dr. Mirosławowi Brozisowi towarzyszyła Marta Makuch, wiceprezydent Słupska.

- Panie Doktorze, cały Słupsk jest dziś dumny i szczęśliwy! To wielkie wyróżnienie dla Pana, dla uczniów, I LO i całego naszego miasta - przekazał Urząd Miejski w Słupsku.

Tegoroczna gala konkursu „Nauczyciel Roku" zgromadziła nauczycieli i przedstawicieli środowiska edukacyjnego z całej Polski. Do tytułu nominowano 13 pedagogów reprezentujących różne przedmioty i typy szkół.

Tytuł Nauczyciela Roku 2026 otrzymał Tomasz Ordza, nauczyciel biologii, chemii i edukacji zdrowotnej ze Szkoły Podstawowej im. Kazimierza Nowaka w Dąbrówce. Oprócz Mirosława Brozisa, wyróżniono również Annę Smagę-Trojanowską - nauczycielkę języka polskiego i filozofii w I Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Orkana w Limanowej (województwo. małopolskie).

Konkurs „Nauczyciel Roku" to ogólnopolski konkurs, w którym wybierany jest nauczyciel wyróżniający się zaangażowaniem, osiągnięciami dydaktycznymi i wychowawczymi oraz dobrym kontaktem z uczniami. Organizuje go „Głos Nauczycielski", a współorganizatorem jest Minister Edukacji. W 2026 r. odbyła się już 24. edycja. ©℗

REGION

Tony zanieczyszczeń z plaż w Ustce i gminie Ustka zebrane

Wojciech Lesner

Urząd Morski w Słupsku poinformował o zakończeniu akcji zbierania zanieczyszczeń z plaż na terenie Ustki i gminy Ustka. Zebrano łącznie około 4,5 ton odpadów.

- Zgromadzony materiał został zabezpieczony i złożony na wyznaczonych placach składowych. Zakończenie zbierania odpadów stanowi kolejny etap działań związanych z usuwaniem skutków zanieczyszczenia plaż. Pomimo zakończenia akcji sprzątania plaże będą nadal na bieżąco monitorowane pod kątem ewentualnego pojawienia się kolejnych zanieczyszczeń – poinformował w środę Urząd Morski w Słupsku.

Przypomnijmy, że zanieczyszczenia – czarne lepkie grudki – dostrzegli na plażach w regionie w ostatni weekend września spacerowicze na plażach w Ustce oraz gminie Ustka, po czym zaalarmowali służby. Na następny dzień plaże zostały zamknięte dla spacerowiczów.

Choć substancja nie stanowiła bezpośredniego zagrożenia dla zdrowia ludzi, podjęto decyzję o czasowym zamknięciu plaż do czasu ich uprzątnięcia.

Wyniki badań próbek substancji, której grudki wyrzucił Bałtyk na odcinku 50 kilometrów brzegu potwierdziły, że to substancja ropopochodna, ale badające je laboratorium nie było w stanie określić, czym ona dokładnie jest.

Wcześniej Urząd Morski przekazał, że ma „ma pewne podejrzenia co do jednostki, która zachowała się niezgodnie z prawem na morzu. Mogło dojść do czyszczenia zbiorników jednostki pływającej, a w konsekwencji tej zabronionej prawem czynności. ©℗

FOT. URZĄD MORSKI W SŁUPSKU

Zebrane zanieczyszczenia z plaż zapakowano do worków

REKLAMA 0011590337

URZĄDZENIA CZYSZCZĄCE
SERWIS i SPRZEDAŻ
NILFISK KÄRCHER

PROFESJONALNA OBSŁUGA
Z WIELOLETNIM DOŚWIADCZENIEM

Zapraszamy do Autoryzowanego Serwisu Punktu Sprzedaży firmy Nilfisk oraz serwisu i Punktu Sprzedaży Firmy Kärcher

76-200 Słupsk, ul. Przemysłowa 34b
tel. 602 442 117
e-mail: mariusz-zawacki@wp.pl
www.jmk-serwis.pl

eprasa.pl 3a1d233d4e

REGION

PGE Baltica poszukuje specjalistów do pracy w bazie serwisowo-operacyjnej w Ustce

oprac. Wojciech Frelichowski

PGE Baltica poszukuje do swojego zespołu w bazie w Ustce specjalistek i specjalistów, którzy będą odpowiadać za obsługę infrastruktury służącej do przesyłu energii elektrycznej z morskich farm wiatrowych do Krajowego Systemu Elektroenergetycznego.

FOT. GP24.PL

Budowa bazy PGE Baltica w Ustce. Obiket powstaje po zachodniej stronie kanału portowego

- Zgodnie z zapowiedzianym w grudniu 2025 r. harmonogramem rekrutacji, kompletujemy zespół do obsługi lądowej części morskiej farmy wiatrowej Baltica 2. Baza w Ustce będzie centrum zarządzania infrastrukturą morskiej Baltica 2. Dzięki temu miasto stanie się jednym z kluczowych ośrodków polskiej morskiej energetyki wiatrowej – powiedział Bartosz Fedurek, prezes zarządu PGE Baltica.

Jak podaje inwestor, aktualnie prowadzona jest rekrutacja do zespołu, który na co dzień będzie ulokowany w bazie operacyjno-serwisowej Baltica 2 w Ustce i będzie odpowiedzialny za obsługę Lądowej Stacji Transformatorowej w Osiekach Lęborskich. Do zespołu poszukiwani są również pracownicy odpowiedzialni za planowanie, logistykę morską oraz operacyjny nadzór nad pracą aktywów wytwórczych.

Oferta skierowana jest m.in. do osób z wykształceniem kierunkowym w zakresie elektrotechniki na poziomie technikum z praktyką zawodową w zakresie eksploatacji urządzeń energetycznych oraz odpowiednim świadectwem kwalifikacyjnym SEP dla urządzeń energetycznych, osób z wykształceniem wyższym elektrycznym z kilkuletnim doświadczeniem w pracy z napięciem HV (High Voltage – wysokie napięcia), a także kandydatów z wykształceniem morskim i wiedzą dotyczącą zasad ruchu na morzu.

Proces rekrutacji zespołu bazy operacyjno-serwisowej w Ustce rozpoczął się w grudniu 2025 r. od wyłonienia kandydatów na stanowiska techników turbin wiatrowych. Docelowo w usteckiej bazie zatrudnienie znajdzie ok. 100 osób.

PGE Baltica z Grupy PGE dysponuje portfelem ośmiu pozwoleń lokalizacyjnych na budowę morskich farm wiatrowych na Bałtyku. Najbardziej zaawansowanym projektem jest Baltica 2 o mocy ok. 1,5 GW, którą PGE buduje w partnerstwie z Ørsted. Rozpoczęcie przez nią produkcji energii elektrycznej zaplanowano w pierwszej połowie 2027 r. W Ustce powstaje baza operacyjno-serwisowa, która będzie obsługiwać właśnie morską farmę wiatrową Baltica 2.

Baza w Ustce

Baza operacyjno-serwisowa PGE Baltica powstaje na powierzchni ponad 2,3 ha. Składać się będzie z budynku administracyjno-socjalnego, budynku magazynowego, placu manewrowego oraz nabrzeża, przy którym cumować będą specjalne, szybkie statki serwisowe do transportu załóg i części zamiennych na obszar farm wiatrowych na Bałtyku.

Poza przyszłą funkcją operacyjno-serwisową ustecka baza będzie stanowić zaplecze w trakcie budowy farmy Baltica 2 na morzu. Po jej uruchomieniu obsługa techniczna będzie realizowana z bazy w Ustce. Planowane oddanie do użytku obiektów portowych to IV kwartał 2026 roku.

Zgodnie z harmonogramem kompletujemy zespół do obsługi lądowej części morskiej farmy wiatrowej Baltica

BARTOSZ FEDUREK
prezes PGE Baltica

Spółka PGE Baltica

PGE Baltica to spółka z Grupy PGE powołana do rozwoju, budowy i eksploatacji morskich farm wiatrowych. Jej portfel inwestycyjny obejmuje osiem projektów na Bałtyku w różnej fazie realizacji i o łącznej mocy przekraczającej 6 GW. Do 2035 roku planuje wybudowanie wspólnie z partnerami farm wiatrowych o mocy co najmniej 4 GW co pozwoli na dostarczenie czystej energii dla 7,5 mln gospodarstw domowych i ograniczenie emisji CO_2 o 11 mln ton. Najbardziej zaawansowany z projektów – Baltica 2 o mocy 1,5 GW, z planowaną datą oddania do użytkowania w 2027 roku – realizowany jest we współpracy z firmą Ørsted. ©℗

SŁUPSK

Uniwersytet Pomorski w Słupsku ma nową stację badawczą. Skorzystają naukowcy i studenci

oprac. Wojciech Lesner

Uniwersytet Pomorski w Słupsku oficjalnie otworzył Stację Badawczo-Dydaktyczną w Grzmiącej (województwo zachodniopomorskie). Studenci i naukowcy będą tu prowadzić badania, doświadczenia i zajęcia, korzystając m.in. z laboratoriów oraz terenów rolnych.

FOT. UP W SŁUPSKU

Oficjalne otwarcie Stacji Badawczo-Dydaktycznej w Grzmiącej

Stacja jest zlokalizowana w powiecie szczecineckim. W działalność Stacji będą zaangażowani zarówno naukowcy, jak i studenci. Ośrodek ma stać się miejscem realizacji projektów badawczych, zajęć praktycznych i szkoleń. Z nowej infrastruktury korzystać będą m.in. studenci nowego kierunku biotechnologia.

Tematyka działalności stacji obejmuje przede wszystkim rolnictwo, ochronę środowiska, zasoby naturalne oraz energetykę. W planach są m.in. badania laboratoryjne, analizy środowiskowe, badania jakości gleb i wód czy prace nad nowoczesnymi i zrównoważonymi metodami gospodarowania w rolnictwie.

- Stacja pozwala wykorzystywać potencjał naukowy i dydaktyczny Uniwersytetu Pomorskiego w Słupsku do poszukiwania praktycznych rozwiązań odpowiadających na wyzwania środowiskowe, gospodarcze i społeczne regionu. To przestrzeń badań nad przyrodą, zasobami naturalnymi, rolnictwem i środowiskiem, a jednocześnie miejsce transferu wiedzy i współpracy nauki z praktyką – przekonują władze uczelni.

Co ciekawe, stacja powstała na terenie dawnego Państwowego Gospodarstwa Rolnego. W skład infrastruktury pozostającej do dyspozycji Uniwersytetu Pomorskiego wchodzą również grunty rolne, które mogą być wykorzystywane do prowadzenia doświadczeń i badań związanych z rolnictwem.

W oficjalnym otwarciu stacji w Grzmiącej wzięli udział przedstawiciele słupskiej uczelni, ale też parlamentarzyści i samorządowcy, rolnicy oraz mieszkańcy. Jej budowa kosztowała ponad 20 mln złotych.
©℗

KRÓTKO

Region

Podszywał się za swojego brata

W Czarnej Dąbrowce 35-latek, chcąc ukryć fakt cofniętych uprawnień, podawał policjantom dane swojego brata.

Policjanci patrolując Czarną Dąbrówkę zwrócili uwagę na volkswagena, którego stan techniczny budził zastrzeżenia. Kierowca przekazał funkcjonariuszom swoje danem, ale mundurowi zauważyli, że wygląd kierowcy różni się od fotografii przypisanej do podanych przez niego danych w bazie.

Okazało się, że 35-latek celowo wprowadzał policjantów w błąd podając dane... swojego brata. Mężczyzna nie powinien w ogóle wsiadać za kierownicę, gdyż miał cofnięte uprawnienia do kierowania pojazdami.
WF

eprasa.pl 3a1d233d4e

MATERIAŁ INFORMACYJNY ARiMR 0011568203

Energia dla gospodarstw.
ARiMR pomoże rolnikom obniżyć rachunki

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa otwiera kolejny nabór w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Od 5 października do 3 listopada 2026 r. rolnicy mogą ubiegać się o wsparcie inwestycji w odnawialne źródła energii. Nabór obejmie m.in. biogazownie rolnicze, instalacje fotowoltaiczne o mocy do 50 kW oraz inwestycje poprawiające efektywność energetyczną budynków.

Fot. Adobe Stock

Rosnące koszty energii sprawiają, że jej zużycie jest coraz ważniejszym elementem rachunku ekonomicznego gospodarstwa. Inwestycje w OZE oznaczają niższe koszty energii i większą niezależność gospodarstw.

Trzy obszary wsparcia

W ramach naboru dostępne są trzy obszary: budowa biogazowni rolniczej, inwestycje w energię słoneczną oraz poprawa efektywności energetycznej budynków.
Obszar A obejmuje budowę biogazowni rolniczej. To rozwiązanie szczególnie interesujące dla gospodarstw prowadzących produkcję zwierzęcą.
Obszar B dotyczy wykorzystania energii słonecznej. Wsparcie obejmuje m.in. instalacje fotowoltaiczne o mocy do 50 kW wraz z magazynami energii elektrycznej, instalacje produkujące ciepło z energii słonecznej, magazyny energii cieplnej, pompy ciepła oraz systemy zarządzania energią.
Obszar C skierowany jest do gospodarstw, które chcą ograniczyć zużycie energii w budynkach. Pomoc można przeznaczyć m.in. na docieplenie ścian, dachów i stropów, wymianę okien, drzwi i bram, oświetlenie LED, odzysk ciepła oraz systemy monitorowania i zarządzania energią.

Do 1,5 mln zł na biogazownię

Najwyższe wsparcie przewidziano na budowę biogazowni rolniczej. Można otrzymać do 1,5 mln zł przy poziomie pomocy do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych.
Inwestycję trzeba jednak przygotować wcześniej. Budowa biogazowni może wymagać zgłoszenia robót budowlanych lub pozwolenia na budowę, dlatego formalności warto rozpocząć z wyprzedzeniem.

Rosnące koszty energii sprawiają, że inwestycje w OZE oznaczają dla gospodarstw niższe rachunki i większą niezależność.

Fotowoltaika z magazynem energii elektrycznej

W najnowszym naborze obowiązują nowe wytyczne wprowadzone w lipcu. Najistotniejsza zmiana dotyczy sposobu rozliczania instalacji fotowoltaicznych i magazynów energii elektrycznej. Zamiast refundacji kosztów wynikających z faktur wprowadzono koszty jednostkowe.
Zastosowanie kosztów jednostkowych upraszcza rozliczenia tego rodzaju inwestycji – nie trzeba przedstawiać ofert wykonawców ani faktur przy ubieganiu się o płatność. Jest jednak ważny warunek: przy zakupie PV magazyn energii elektrycznej jest obowiązkowy. Jego minimalna pojemność musi wynosić 0,5 kWh na każdy 1 kW mocy mikroinstalacji PV. Przy mikroinstalacji PV 20 kW potrzebny jest więc magazyn o pojemności co najmniej 10 kWh.
W obszarze B można także inwestować w instalacje produkujące ciepło z energii słonecznej, magazyny energii cieplnej, pompy ciepła i systemy zarządzania energią. Pompa ciepła musi być sprzężona z instalacją PV. Wysokość wsparcia na tego typu inwestycje wynosi 200 tys. zł, a poziom refundacji to 65 proc. kosztów kwalifikowalnych lub jednostkowych.

Ograniczanie strat

Czasem większe oszczędności daje ograniczenie zużycia energii niż produkowanie jej w nadmiarze. Temu służy obszar C.
Na poprawę efektywności energetycznej budynków można otrzymać do 200 tys. zł, przy wsparciu do 65 proc. kosztów kwalifikowalnych. Pomoc obejmuje m.in. termomodernizację budynków, odzysk ciepła, oświetlenie LED oraz systemy monitorowania energii. Możliwy jest także zakup kotłów na biomasę, z wyłączeniem kotłów do spalania słomy. Wsparcie dotyczy budynków wykorzystywanych do produkcji rolnej, m.in. budynków inwentarskich, chłodni, szklarni, pieczarkarni, magazynów i przechowalni. Warunkiem jest zmniejszenie w każdym objętym inwestycją budynku wskaźnika zapotrzebowania na energię końcową (EK) i pierwotną (EP) o co najmniej 30 proc. (każdy).

Łączenie inwestycji

Rolnik może skorzystać ze wsparcia w ramach więcej niż jednego obszaru. Obowiązują jednak limity łącznej pomocy. Przy połączeniu obszarów A i B limit wynosi 1,5 mln zł; A i C – 1,7 mln zł; B i C – 400 tys. zł; obszary A, B i C - 1,7 mln zł.
Pozwala to planować modernizację gospodarstwa etapami. Np. rozpocząć od fotowoltaiki z magazynem, następnie poprawić efektywność energetyczną budynków, a później zainwestować w biogazownię.

Istotne przygotowanie

Nabór potrwa od 5 października do 3 listopada 2026 r. Wnioskodawca musi m.in. posiadać numer EP, spełnić warunki dotyczące prowadzenia działalności rolniczej oraz odbyć szkolenie z efektywności energetycznej gospodarstwa. Szkolenie powinno być ukończone nie wcześniej niż 24 miesiące przed złożeniem wniosku o przyznanie pomocy. Możliwe jest także zobowiązanie się do odbycia go w późniejszym terminie, ale nie później niż do dnia złożenia wniosku o płatność.
Inwestycji nie wolno rozpocząć przed złożeniem wniosku o przyznanie pomocy.
W przypadku przedsięwzięć wymagających dokumentacji budowlanej formalności trzeba więc załatwić odpowiednio wcześnie.
Należy również sprawdzić stan budynków. W obszarach B i C pomoc nie zostanie wypłacona, jeśli inwestycja została zrealizowana w budynku, którego pokrycie dachowe zawiera azbest. Przy planowaniu paneli na eternicie trzeba więc uwzględnić również wymianę tego pokrycia, którego koszt nie jest objęty dofinansowaniem.

Tyle punktów

O kolejności przyznawania wsparcia decyduje suma punktów. Premiowane są m.in. gospodarstwa prowadzące produkcję zwierzęcą, ekologiczną lub integrowaną. Dodatkowe punkty mogą otrzymać młodzi rolnicy oraz inwestujący na obszarach chronionych.
W obszarze A punktowany jest również udział nawozów naturalnych z własnego gospodarstwa. W obszarze B znaczenie mają poza powyższymi m.in. brak wcześniejszej pomocy na zakup PV w ramach wybranych działań PROW 2014-2020 oraz sprawność instalacji. W obszarze C dodatkowo premiowane są m.in. kompleksowa realizacja inwestycji, likwidacja źródeł ciepła wykorzystujących kopalne paliwa stałe oraz zastosowanie systemu monitorowania i zarządzania energią.
Aby pomoc mogła zostać przyznana, operacja musi uzyskać co najmniej 6 punktów.

W ramach przypomnienia

Najbliższy nabór ARiMR to szansa nie tylko na dotację, lecz także na ograniczenie kosztów produkcji. Maksymalnie można otrzymać 1,5 mln zł na biogazownię oraz po 200 tys. zł na energię słoneczną i poprawę efektywności energetycznej. Poziom wsparcia sięga do 65 proc., a wnioskodawca może ubiegać się o zaliczkę do 50 proc. przyznanej pomocy.
Warto już teraz przeanalizować zużycie energii, koszty i możliwości inwestycyjne, sprawdzić kryteria punktowe oraz przygotować dokumenty. Dobrze zaplanowana inwestycja może przez lata obniżać rachunki i zwiększać odporność gospodarstwa na zmiany cen energii.

Plan Strategiczny dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Dofinansowane przez Unię Europejską

Materiał opracowany przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Instytucja Zarządzająca Planem Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Materiał dofinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

eprasa.pl 3a1d233d4e

PRZESTĘPCZOŚĆ

Słodki interes na cieście francuskim z gorzkim zakończeniem

Maciej Czerniak

Szykuje się proces o wyłudzenie blisko 33 i wypranie 39,5 mln zł. W sprawie są wątki przedsiębiorstw działających w Kujawsko-Pomorskiem. Chodzi o fikcyjne faktury i oszustwa podatkowe na cieście francuskim i nadzieniu owocowym.

W śledztwie, które nadzorowała Prokuratura Regionalna w Gdańsku, tropiono przestępstwa związane z wyłudzaniem publicznych pieniędzy. Sprawa zakończyła się postawieniem zarzutów i skierowaniem do sądu. Oskarżeni, jak informuje gdańska prokuratura, działali w Bydgoszczy, Gdańsku, Gdyni, Inowrocławiu, Katowicach, Ożarowie Mazowieckim, Pelplinie, Starogardzie Gdańskim, Sosnowcu, Tczewie i Warszawie.

Postępowanie zostało wszczęte 10 maja 2016 roku, kiedy do prokuratury trafiło zawiadomienie Generalnego Inspektora Kontroli Skarbowej. Początkowo sprawa dotyczyła „uzyskania i wydatkowania dofinansowania przyznanego w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka 2007–2013, działania 4.4 „Nowe inwestycje o wysokim potencjale innowacyjnym".

Zawyżone wnioski

- Ujawniono, że już we wniosku o dofinansowanie projektowanej działalności gospodarczej, oskarżeni zawyżyli planowane wydatki na zakup sześciu specjalistycznych linii produkcyjnych - mówi prok. Mariusz Marciniak, rzecznik prasowy Prokuratury Regionalnej w Gdańsku. - Następnie w toku realizacji projektu, przeprowadzali pozorne postępowania ofertowe i tworzyli sztucznie wydłużone łańcuchy transakcji z udziałem kolejnych podmiotów gospodarczych, co miało na celu wielokrotne podwyższenie wartości urządzeń.

Wnioski o dofinansowanie złożone, między innymi do Regionalnej Instytucji Finansującej – Agencji Rozwoju Pomorza S.A. z siedzibą w Gdańsku, opiewały na ponad 32 mln zł.

Oskarżeni na potrzeby rozliczenia dofinansowania przedstawili również dokumenty handlowe i finansowe, wystawione przez podmioty gospodarcze z siedzibą w Gdyni, Inowrocławiu, Katowicach, Starogardzie Gdańskim i Tczewie.

FOT. MAŁGORZATA GENCA/ZDJ.ILUSTRACYJNE

Czy słodki interes się opłaci? Kara to nawet 25 lat więzienia

Jak informuje prokuratura, markowały one rzekomy obrót maszynami i urządzeniami produkcyjnymi. W rzeczywistości maszyny i urządzenia były nabywane bezpośrednio od producentów i za znacznie niższe kwoty, niż zostały wykazane we wnioskach o rozliczenie dofinansowania.

Uzyskanie dokumentów poświadczających nieprawdę było możliwe, ponieważ oskarżeni do łańcucha transakcyjnego wprowadzili podmioty pełniące rolę fikcyjnych pośredników. W ten sposób linie produkcyjne, na które miało być przyznane dofinansowanie, formalnie były przedmiotem kolejnych transakcji sprzedaży, a ich wartość wykazywana w dokumentach, z każdą transakcją była podwyższana.

Pozorne transakcje

- Istotną rolę w tym mechanizmie odgrywały sztucznie wydłużone łańcuchy transakcji. Jedna ze spółek uczestniczących w obrocie, w rzeczywistości nie prowadziła działalności gospodarczej, lecz została utworzona wyłącznie w celu udziału w tym przestępczym procederze - mówi prok. Marciniak. - Za jej pośrednictwem, realizowano część pozornych transakcji i przepływów finansowych.

Śledztwo wykazało ponadto, że nadwyżki pieniędzy powstałe w wyniku zawyżenia cen maszyn były następnie transferowane pomiędzy podmiotami. Wykorzystywano w tym celu różne operacje gospodarcze i finansowe, aby utrudnić ustalenie pochodzenia i rzeczywistego przeznaczenia środków.

„Celem całego mechanizmu – według ustaleń śledztwa – było uzyskanie wyższego dofinansowania ze środków Unii Europejskiej i z budżetu państwa oraz zrealizowanie projektu bez rzeczywistego zaangażowania wymaganego wkładu własnego beneficjenta. Było to również ściśle powiązane z nienależnym zwrotem i z uszczupleniem podatku VAT", informuje prokuratura.

W toku śledztwa szczegółowo odtworzono proceder dotyczący sześciu specjalistycznych linii technologicznych: linii do produkcji wyrobów z ciasta drożdżowego, półfrancuskiego i francuskiego, linii do garowania i wypieku ciasta oraz do studzenia i mrożenia. A ponadto, do odbioru i przygotowania blach oraz linii transportu i dozowania składników i do obróbki owoców.

Badaniem objęto transakcje począwszy od producentów urządzeń z Francji, Szwajcarii, Włoch i Polski, poprzez kolejne podmioty uczestniczące w obrocie, aż do finalnego odbiorcy urządzeń. I tak, na przykład specjalistyczna linia do produkcji wyrobów z ciasta drożdżowego i francuskiego, której wartość została wykazana w fakturach na kwotę 13 mln zł netto, w rzeczywistości była warta nie więcej niż około 3,28 mln zł netto.

Akt oskarżenia obejmuje 10 osób. Wg prokuratury dwaj z nich dopuścili się wyłudzeń podatkowych na kwotę powyżej 10 mln zł, to tzw. zbrodnia vatowska, za którą sąd może orzec karę nawet do 25 lat więzienia. Z kolei oszustwa i wyłudzenia są zagrożone karą pozbawienia wolności od roku 10 lat oraz karą grzywny.

©℗

REKLAMA 0011593672

Słupsk

WYBIERAM SŁUPSK!

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA

Prezydent Miasta Słupska ogłasza
przetarg na sprzedaż części nieruchomości
stanowiącej własność Miasta Słupska

I nieograniczony przetarg ustny na sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 7 o pow. użytkowej **47,86 m²** wraz z pomieszczeniem przynależnym (piwnicą) o powierzchni 12,48 m² składający się z 2 pokoi, kuchni, przedpokoju, łazienki i pomieszczenia gospodarczego położonego na poddaszu (III kondygnacji) w budynku przy ul. Szarych Szeregów 4 w Słupsku wraz z udziałem **542/10000** we własności części wspólnych budynku i w prawie własności działki gruntu oznaczonej **nr 729/1** o powierzchni **604 m²** w obrębie **nr 0006** miasta Słupska, dla której Sąd Rejonowy w Słupsku VII Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi KW nr **SL1S/00090389/6.**

Cena wywoławcza wynosi 270 000,00 zł
wadium 27 000,00 zł

Sprzedaż zwolniona od podatku VAT na podstawie art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz.U. z 2025 r. poz. 775).

Nieruchomość położona jest na terenie, dla którego obowiązuje miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego „Śródmieście A" na terenie o funkcji: tereny zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej, tereny zabudowy usługowej - 33.MW,U (ZZ). Budynek przy ul. Szarych Szeregów 4 nie jest indywidualnie wpisany do Rejestru Zabytków, natomiast figuruje w wykazie Gminnej Ewidencji Zabytków Miasta Słupska jako zabytek nieruchomy znajdujący się w wojewódzkiej ewidencji zabytków Województwa Pomorskiego. W związku z tym podlega uwarunkowaniom zgodnym z zapisami obowiązującego na tym terenie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „Śródmieście A".

Przetarg odbędzie się w dniu 17.11.2026 r. o godz. 11:00 w sali nr 212 Urzędu Miejskiego w Słupsku, Plac Zwycięstwa 3 (II piętro).

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłacenie **wadium do dnia 10.11.2026 r.** na konto: Miasto Słupsk mBank SA nr **08 1140 1153 0000 2175 4200 1011**.

Nieruchomość będzie udostępniona do oglądania w dniu 28.10.2026 r. o godz. 14:30

Pełna treść ogłoszenia została wywieszona na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Słupsku obok pok. 215, opublikowana na stronie internetowej www.slupsk.pl oraz w Biuletynie Informacji Publicznej www.bip.um.slupsk.pl.

Szczegółowe informacje dotyczące przetargu uzyskać można w Urzędzie Miejskim w Słupsku, Plac Zwycięstwa 3, w Wydziale Zarządzania Nieruchomościami, pokój 215, pod nr tel. 59 848 83 32.

Prezydent Miasta Słupska zastrzega sobie prawo do odwołania przetargu z uzasadnionej przyczyny w trybie właściwym dla ogłoszenia.

REKLAMA 0011593753

Słupsk

WYBIERAM SŁUPSK!

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA

Prezydent Miasta Słupska ogłasza
przetarg na sprzedaż części nieruchomości stanowiącej własność Miasta Słupska

I nieograniczony przetarg ustny na sprzedaż lokalu niemieszkalnego nr 5A o pow. użytkowej **17,54 m²** składającego się z 1 pomieszczenia położonego na III piętrze (IV kondygnacji) w budynku przy ul. Wojska Polskiego 41-42 w Słupsku wraz z udziałem **118/10000** we własności części wspólnych budynku i w prawie własności działki gruntu oznaczonego **nr 514/1** o powierzchni **526 m²** w obrębie **nr 0006** miasta Słupska, dla której Sąd Rejonowy w Słupsku VII Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi KW nr **SL1S/00023903/6**.

Cena wywoławcza wynosi 50 000,00 zł
wadium 5 000,00 zł

Sprzedaż zwolniona od podatku VAT na podstawie art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2025 r. poz. 775).

Nieruchomość położona jest na terenie, dla którego obowiązuje miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego „Tuwima" na terenie o funkcji: zabudowa mieszkaniowo-usługowa o wysokiej intensywności zabudowy – 27.MW/U. Obiekt jest ujęty w Gminnej Ewidencji Zabytków Miasta Słupska jako inny zabytek nieruchomy wpisany do wojewódzkiej ewidencji zabytków Województwa Pomorskiego.

Przetarg odbędzie się w dniu 17.11.2026 r. o godz. 12:00 w sali nr 212 Urzędu Miejskiego w Słupsku, Plac Zwycięstwa 3 (II piętro).

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłacenie **wadium do dnia 10.11.2026 r.** na konto: Miasto Słupsk mBank SA nr **08 1140 1153 0000 2175 4200 1011.**

Nieruchomość będzie udostępniona do oglądania w dniu 29.10.2026 r. o godz. 14:30.

Pełna treść ogłoszenia została wywieszona na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Słupsku obok pok. 215, opublikowana na stronie internetowej **www.slupsk.pl** oraz w Biuletynie Informacji Publicznej **www.bip.um.slupsk.pl.**

Szczegółowe informacje dotyczące przetargu uzyskać można w Urzędzie Miejskim w Słupsku Plac Zwycięstwa 3, w Wydziale Zarządzania Nieruchomościami pokój 215, pod nr tel. 59 8488332.

Prezydent Miasta Słupska zastrzega sobie prawo do odwołania przetargu z uzasadnionej przyczyny w trybie właściwym dla ogłoszenia.

eprasa.pl 3a1d233d4e

FOKUS

• **Dziś** litr benzyny 95 ma kosztować nie więcej niż 6,90 zł, benzyny 98 – 7,77 zł, a oleju napędowego – 7,82 zł

O TYM SIĘ MÓWI

Szkolna masakra. Uczeń z nożem w ręku. Dwa dni, dwa ataki nożowników

Dorota Kowalska

Nastolatkowie ruszyli na swoich kolegów, nauczycieli, pracowników placówek. Do tego jedno zatrzymanie prewencyjne. Ponad dziesięć osób zostało rannych, jedna z ofiar nie żyje.

Ta wiadomość zszokowała opinię publiczną, ale też takie historie zdarzają się raczej w amerykańskich, nie polskich szkołach. W środę w Zespole Szkół Zawodowych nr 4 w Ostrołęce 19-latek, uczeń tej placówki, zaatakował nożem dziewięć osób – pięcioro uczniów, dwoje nauczycieli i dwie osoby postronne.

Było koło godz. 11.00, w szkole zrobiło się tłoczno. Jakub Z. wykorzystał sytuację, wyjął nóż. Wszędzie słychać było krzyki. Totalny chaos. Gdy nauczyciele spostrzegli, co się dzieje, zaczęli zamykać się z uczniami w klasach. – To się działo po sąsiedzku, w sąsiedniej klasie. Chłopak zakrwawiony wybiegł z dołu, biegł do góry. Jak wbiegł do klasy, to pani zamknęła drzwi na klucz. Potem było jakieś szarpnięcie, jakby ktoś chciał wejść do środka. Ktoś szarpał za drzwi – opowiada mediom uczennica ostrołęckiej szkoły.

Być może zdecydowana postawa nauczycieli uratowała życie im i uczniom. Napastnik wybiegł ze szkoły, nie miał jak dopaść kolejnych ofiar.

Policja zatrzymała go jakieś 500 metrów od szkoły, w rejonie plaży miejskiej. Chłopak przed zatrzymaniem dokonał samookaleczenia, trafił do szpital. Żyje.

Jakub Z. zaplanował ten atak

Jakub Z. uchodził za skrytego, trochę wycofanego.

– Nie było o nim głośno. Nie rzucał się w oczy, był bardzo cichy – opowiadała mediom 16-latka, uczennica szkoły w Ostrołęce.

Dlaczego zaatakował kolegów i uczniów?

– Z tego, co nam wiadomo, to z jego ust padły słowa, że chce, aby w jego urodziny było o nim głośno – tak odpowiedziała. Jakub Z. miał w środę urodziny, skończył 19 lat.

Dzisiaj wiemy już, że 19-latek był pod stałą opieką specjalistów, w tym psychologa i pedagoga, że interesowały się nim również służby społeczne. Jakub Z. był w przeszłości notowany za posiadanie narkotyków, jednak tamta sprawa została umorzona.

Prokuratura Rejonowa w Ostrołęce poinformowała o wszczęciu śledztwa w sprawie usiłowania zabójstwa. Chłopak dokładnie wszystko zaplanował, to nie był przypadkowy atak kierowany emocjami.

– Mamy już pewność, że sprawca tego zdarzenia wszedł z niebezpiecznym narzędziem w postaci noża na teren szkoły i powiem więcej, w plecaku, który także wniósł na teren szkoły, znajdował się ładunek wybuchowy domowej konstrukcji, który prawie został zdetonowany – mówił na antenie TVN24 prokurator krajowy Dariusz Korneluk.

Opinia publiczna poczuła się trochę jak w innej rzeczywistości. Nożownicy atakowali w szkołach we Francji, w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, nie w naszym kraju.

– Takiego zdarzenia w Polsce nie było – przyznała ministra edukacji Barbara Nowacka w TVN24. Mówiła też o „bardzo dobrej, spokojnej i błyskawicznej" reakcji dyrektora, społeczności szkolnej oraz służb.

– Udało się uniknąć tragedii, udało się uniknąć katastrofy - oceniła ministra.

Kolejne ataki uczniów

To nie koniec złych wiadomości. W dniu ataku nożownika w Ostrołęce, policjanci z Sierpca zatrzymali 17-latka. Do Komendy Powiatowej Policji w tym mieście zgłosił się jeden z nauczycieli, przekazał policjantom niepokojące informacje otrzymane od uczniów.

„Z jego relacji wynikało, że uczeń szkoły wśród rówieśników przekazywał, że planuje w środę 7 października „zrobić coś złego w szkole"" – czytamy w komunikacie policji.

– Na zabezpieczonych nośnikach elektronicznych znaleziono wszystkie informacje, czego szukał w internecie ten młody człowiek. Szukał informacji, jak właśnie zorganizować tego typu krwawe wydarzenie – mówił na specjalnie zwołanej po ataku w Ostrołęce konferencji prasowej Marcin Kierwiński, szef MSWiA.

Konferencja jeszcze się nie skończyła, kiedy przyszedł następny wstrząs.

„Kolejny atak w szkole z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Tym razem 15-latek zaatakował w szkole podstawowej w miejscowości Leszczydół-Nowiny pod Wyszkowem" – informowały media.

Mazowiecka policja przekazała na portalu X, że w wyniku ataku 15-latka, po reanimacji zmarła 37-letnia kobieta. To pracowniczka szkoły, woźna, którą napastnik zaatakował jako pierwszą. Ranna została też jedna z nauczycielek i dyrektor, który próbował obezwładnić ucznia.

Politycy reagują

Politycy nie mają wątpliwości: trzeba reagować natychmiast. Barbara Nowacka przekazała, że wspólnie z szefem tego resortu Marcinem Kierwińskim widzą potrzebę wzmacniania prowadzonych już działań zmierzających do poprawy bezpieczeństwa. Dodała, że już w tym roku w każdej szkole odbędzie się przynajmniej jedno spotkanie dedykowane procedurom bezpieczeństwa w sytuacjach kryzysowych.

MATERIAŁ INFORMACYJNY BIURA INFORMACJI KREDYTOWEJ

0011589474

Ponad 120 tys. użytkowników Score Huntera. BIK uczy odpowiedzialnych decyzji kredytowych przez grę

Łatwy dostęp do zakupów na raty, płatności odroczonych i innych form finansowania sprawia, że pierwsze decyzje kredytowe podejmujemy dziś bardzo wcześnie. Dlatego wiedza o odpowiedzialnym zaciąganiu zobowiązań, budowaniu historii kredytowej i ochronie danych powinna pojawić się jeszcze przed pierwszym kredytem. Biuro Informacji Kredytowej, które od lat łączy rolę instytucji wspierającej bezpieczeństwo rynku finansowego z edukacją społeczną, rozwija platformę Score Hunter, która pozwala młodym ludziom poznawać te zagadnienia w praktyce i bez ryzyka.

Pierwsze decyzje kredytowe mają znaczenie

Pierwsza pensja, karta kredytowa, telefon kupiony na raty czy zakupy z odroczoną płatnością. Każda z tych decyzji wydaje się niewielka, dopóki kilka zobowiązań nie zacznie obciążać jednego budżetu. Młody człowiek może mieć własne dochody, ale nie zawsze zna mechanizmy związane z kredytem, historią spłat czy oceną wiarygodności kredytowej.

Dlatego zasady odpowiedzialnego korzystania z kredytów i innych form finansowania warto poznawać jeszcze przed wejściem na rynek pracy. Chodzi przede wszystkim o ocenę, czy nowe zobowiązanie mieści się w budżecie oraz o zrozumienie, jakie konsekwencje mogą mieć dzisiejsze decyzje w przyszłości.

Równie ważne jest bezpieczeństwo danych. Zakupy i bankowość przeniosły się do internetu, dlatego od-

powiedzialne korzystanie z usług finansowych wymaga także ochrony danych osobowych, rozpoznawania zagrożeń i prób wyłudzeń.

Score Hunter pozwala uczyć się na błędach bez ryzyka

Biuro Informacji Kredytowej gromadzi i udostępnia informacje o historii kredytowej klientów banków, SKOK-ów i firm pożyczkowych, a także prowadzi działania edukacyjne dotyczące odpowiedzialnego korzystania z finansowania i bezpieczeństwa danych.

Jednym z takich narzędzi jest **Score Hunter – internetowa platforma edukacyjna wykorzystująca elementy grywalizacji.** Użytkownicy zdobywają wiedzę w krótkich, przystępnych dawkach, a następnie sprawdzają ją w zadaniach i quizach. Mogą też brać udział w pojedynkach i wyzwaniach oraz przejść misję scenariuszową, która pozwala wykorzystać zdobytą wiedzę w praktyce.

Platforma została przygotowana przede wszystkim z myślą o środowisku akademickim, ale BIK wykorzystuje ją także w edukacji uczniów szkół ponadpodstawowych. Ze Score Huntera skorzystało dotychczas ponad 120 tys. użytkowników z uczelni w całej Polsce. Program pokazuje m.in. jak odpowiedzialnie zaciągać i spłacać zobowiązania, budować historię oraz wiarygodność kredytową, chronić swoje dane i rozpoznawać próby wyłudzeń.

BIK rozwija narzędzie tak, aby mogło wspierać młodych ludzi na różnych etapach – od szkoły średniej, przez studia, po pierwsze doświadczenia zawodowe. To istotne, bo łatwiej zrozumieć konsekwencje decyzji kredytowej, kiedy można przećwiczyć ją w symulowanym środowisku, zanim podobna sytuacja pojawi się w prawdziwym życiu.

Warto wiedzieć, co mówi o nas historia kredytowa

Historia kredytowa zaczyna powstawać wraz z pierwszym zobowiązaniem. Informacje o terminowej obsłudze kredytów mogą być brane pod uwagę przez instytucje finansowe przy ocenie kolejnych wniosków o finansowanie.

Za pośrednictwem portalu BIK konsumenci mogą sprawdzać swoją historię kredytową i informacje o zobowiązaniach. Taka wiedza nie zastąpi rozsądnego planowania, ale pozwala lepiej rozumieć własną sytuację.

Wiedza o odpowiedzialnym korzystaniu z kredytów i ochronie danych ma największą wartość wtedy, gdy wyprzedza problem. Zanim pojawi się pierwsze zobowiązanie albo próba wykorzystania naszych danych, warto wiedzieć, jak ocenić swoje możliwości spłaty, dbać o historię kredytową i chronić się przed wyłudzeniami. Score Hunter pomaga przełożyć tę wiedzę na praktykę i lepiej przygotować się do decyzji, które pojawiają się w dorosłym życiu.

eprasa.pl 3a1d233d4e

ROSJA/USA

USA i Rosja rozmawiają o wznowieniu Nord Stream

oprac. Anna Nagel

Przedstawiciele USA i Rosji prowadzili rozmowy o zaangażowaniu amerykańskiego inwestora w gazociągi Nord Stream, którymi przed wojną w Ukrainie dostarczano rosyjski gaz do Niemiec – podał w czwartek Reuters, powołując się na źródła. Niemcy i Polska sprzeciwiają się wznowieniu dostaw.

FOT. IMAGO/GAVRIL GRIGOROV/EAST NEWS

Kiriłł Dmitrijew, bliski doradca Władimira Putina, i Jared Kushner, wysłannik prezydenta USA Donalda Trumpa, na Kremlu

W rozmowach uczestniczyli m.in. Jared Kushner, wysłannik prezydenta USA Donalda Trumpa, oraz Kiriłł Dmitrijew, bliski doradca przywódcy Rosji Władimira Putina. Według źródeł agencji Reutera ewentualne porozumienie umożliwiłoby amerykańskim inwestorom czerpanie zysków z dostaw rosyjskiego gazu do Europy po zakończeniu wojny w Ukrainie.

Kushner i Dmitrijew spotykali się w ostatnich tygodniach w Moskwie i Nowym Jorku. Nie wiadomo jednak, w jakim stopniu omawiali wówczas kwestię gazociągów Nord Stream, uszkodzonych w 2022 roku w wyniku eksplozji, o które oskarżana jest Ukraina.

Przedstawiciel Białego Domu zapewnił agencję Reutera, że ostatnio nie prowadzono rozmów dotyczących gazociągów. Zaznaczył, że wszelkie ewentualne umowy musiałyby przynieść korzyści amerykańskim podatnikom i przedsiębiorstwom.

Realizacja porozumienia napotyka poważne przeszkody prawne i polityczne. Położone na dnie Bałtyku gazociągi Nord Stream są objęte sankcjami USA i UE. Według jednego z amerykańskich urzędników zawarcie umowy w perspektywie średnioterminowej jest mało prawdopodobne.

Resort gospodarki i energii Niemiec podkreślił, że kraj znalazł alternatywne źródła gazu, a rząd nie zamierza wyrażać zgody na ponowne uruchomienie Nord Stream. Przeciwna wznowieniu dostaw pozostaje również Polska, której władze śledzą rozmowy Waszyngtonu z Moskwą – przekazało Reutersowi źródło zaznajomione ze stanowiskiem rządu w Warszawie.

– Grozi nam brudny interes, za który Europa słono zapłaci. Amerykanie i Rosjanie podzielą się zyskami – ocenił niemiecki deputowany Michael Kellner z Zielonych, specjalizujący się w polityce energetycznej.

Przed rosyjską inwazją na Ukrainę w lutym 2022 r. Niemcy sprowadzały z Rosji ponad połowę zużywanego gazu. Gazociągi Nord Stream zostały wyłączone z eksploatacji, a we wrześniu 2022 r. wskutek podwodnych eksplozji zostały uszkodzone. Rosyjski Gazprom ma 51 proc. udziałów w spółce kontrolującej infrastrukturę, a pozostałe należą do podmiotów niemieckich, francuskiego i holenderskiego.

Kushner i Dmitrijew mieli omawiać również możliwość sprzedaży zagranicznych aktywów rosyjskiego koncernu Łukoil, obejmujących m.in. rafinerie i stacje paliw. Jak przekazał Reuters, aktywa miałyby zostać nabyte przez konsorcjum federalnej agencji inwestycyjnej DFC oraz inwestorów z Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

USA

Trump zamierza omówić z Putinem wybuch epidemii dżumy w Rosji

Grzegorz Kuczyński

Prezydent USA Donald Trump oświadczył, że w najbliższym czasie porozmawia z prezydentem Rosji Władimirem Putinem na temat sytuacji związanej z możliwym wybuchem epidemii dżumy w obwodzie irkuckim.

Prezydent USA Donald Trump powiedział w środę, że Rosja przekazuje Amerykanom „trochę" informacji na temat domniemanego ogniska dżumy w Irkucku, choć powinna przekazywać więcej.

– Oni przekazują trochę (informacji) naszym ludziom. Oczekujemy, by przekazywali wiele naszym ludziom – powiedział Trump rozmawiając z dziennikarzami w Gabinecie Owalnym, pytany o sprawę wydostania się patogenu z laboratorium w Irkucku.

Pytany o to, czy jest to broń biologiczna, odparł: – Nie sądzimy. Dodał, że taką ma nadzieję.

Trump zaznaczył, że Rosjanie zapewniają, że mają „wszystko pod kontrolą".

Wcześniej Trump oświadczył, że Stany Zjednoczone są gotowe udzielić Rosji pomocy. Sekretarz stanu USA Marco Rubio również powiedział, że Waszyngton śledzi doniesienia z obwodu irkuckiego. Według niego władze amerykańskie nie dysponują na razie nowymi informacjami i nie ma „powodu do paniki".

We wtorek 6 października ambasada USA w Rosji wydała ostrzeżenie dla obywateli amerykańskich w związku z doniesieniami o domniemanym przypadku dżumy płucnej oraz środkach kwarantanny w obwodzie irkuckim. Amerykanom zalecono unikanie obiektów objętych kwarantanną oraz zwracanie się o pomoc medyczną w przypadku wystąpienia gorączki lub objawów ze strony układu oddechowego.

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) oświadczyła w środę, że „nie jest w stanie" przeprowadzić na obecnym etapie pełnej oceny zagrożenia po śmierci pracownicy laboratorium w Irkucku 2 października.

FOT. LUDOVIC MARIN/AFP/EAST NEWS

Donald Trump o problemie z dżumą w Rosji ma rozmawiać z prezydentem Putinem

HISZPANIA

Była symbolem kryzysu mieszkaniowego

oprac. Anna Nagel

Zmarła Maricarmen Abascal, 87-letnia mieszkanka Madrytu, która stała się symbolem protestów, jakie wybuchły w całej Hiszpanii 23 września – dniu jej eksmisji z mieszkania zajmowanego przez 70 lat.

O jej śmierci poinformował w środę madrycki Związek Lokatorek i Lokatorów, który przez lata wspierał emerytkę w walce o jej mieszkanie. Protestujący na placu Puerta del Sol w Madrycie uczcili jej pamięć minutą ciszy. Tłum ruszył następnie w pobliże położonego nieopodal Kongresu Deputowanych, otoczonego przez policję.

Skandowano hasła: „Maricarmen odchodzi, ale walka trwa!", „W naszej walce Maricarmen żyje!", „To nie są zgony, to morderstwa!" oraz „Ani jednej eksmisji więcej!".

Politycy wszelkich opcji w mediach społecznościowych odnieśli się do śmierci kobiety. Wyrazy współczucia rodzinie i bliskim Maricarmen, a także wszystkim tym, którzy odczuwają jej stratę, przekazał na platformie X premier Pedro Sanchez.

„Chcę przekazać wyrazy współczucia rodzinie i bliskim Maricarmen. Żadnej kampanii, żadnych partii, żadnego instrumentalnego wykorzystywania tej sprawy. Dość dokładania kolejnych cegieł do muru podziałów. W obliczu śmierci człowieka możliwy jest tylko szacunek" – napisał w serwisie X lider opozycyjnej Partii Ludowej (PP) Alberto Nunez Feijoo.

PAP

CHINY/ROSJA

Rosja knuje z Chinami. Prawa ręka Putina z wizytą w Pekinie

Grzegorz Kuczyński

Doradca prezydenta Rosji i przewodniczący Kolegium Morskiego Nikołaj Patruszew udał się z tygodniową wizytą do Pekinu. W ChRL były szef FSB i były sekretarz Rady Bezpieczeństwa Rosji przeprowadzi rozmowy z członkiem Biura Politycznego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin oraz ministrem spraw zagranicznych tego kraju.

Ministerstwo nie podało jednak, jakie tematy będą omawiane podczas wizyty. Po wybuchu wojny w Ukrainie Chiny stały się największym odbiorcą rosyjskiej ropy, przy czym rosyjskie surowce energetyczne są im dostarczane ze znacznym rabatem. Według prezesa Rosnieftu Igora Sieczina dzięki współpracy z Rosją w zakresie ropy naftowej Chiny od 2022 roku zaoszczędziły 27 miliardów dolarów.

We wrześniu podczas rosyjsko-chińskiego forum biznesowego poświęconego energetyce Sieczin poinformował, że udział rosyjskiej ropy w chińskim imporcie osiągnął rekordowy poziom 27%, a wielkość dostaw przekroczyła 100 mln ton rocznie. Jak podał, w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy 2026 roku Rosja dostarczyła do Chin 67 mln ton ropy.

Na początku września Władimir Putin stwierdził, że stosunki między Moskwą a Pekinem rozwijają się „w górę". Jak powiedział, Rosja zajmuje pierwsze miejsce pod względem wielkości dostaw ropy naftowej i gazu ziemnego do chińskich odbiorców, a także znajduje się w czołówce eksporterów węgla i LNG.

eprasa.pl 3a1d233d4e

KOSZALIN/SŁUPSK/SZCZECIN

tygodnik Regionów

Piątek, 9.10.2026

Powiat gryfiński

„Złapałem tego psa, bo mnie w******ł. Rzuciłem nim, bo nie mogłem się oprzeć”

– Str. 10-11

Szczecin

Szczecin nie tylko w tle. Autor „Sekretu czerwonego Mustanga” o swojej powieści

– Str. 14

FOT. RADOSŁAW BRZOSTEK

Jego głos znają parafianie. Mało kto wie, że jego kompozycje grają w całym kraju

Urodził się Mińsku, ukończył Białoruską Państwową Akademię Muzyczną, skomponował kilka uznanych dzieł. Dziś mieszka w Koszalinie i wkrótce ruszy w trasę po Polsce ze swoim najnowszym utworem- kantatą na chór, solistów, orkiestrę i fortepian. Poznajcie Igora Jankowskiego, organistę w koszalińskiej parafii pw. Ducha Świętego. – Str. 12 - 13

eprasa.pl 3a1d233d4e

LUDZIE

„Złapałem psa, bo mnie w*****ł. Rzuciłem nim, nie mogłem się oprzeć”

Pamiętacie nagranie z lipca 2025 r., na którym mężczyzna rzucił psem o bruk? Gracjan S. został prawomocnie skazany za znęcanie się nad zwierzęciem. Mimo to cały czas jest na wolności, a policja jest na etapie wystawienia listu gończego za skazanym. W międzyczasie 30-letni mieszkaniec Rynicy w gm. Widuchowa usłyszał kolejny wyrok. Jak udało nam się ustalić... za kradzież dwóch butelek alkoholu i fizyczny atak na pracownika Biedronki

Grzegorz Racinowski

- Gracjan jest nieprzewidywalny. Wielokrotnie groził mi i moim bliskim. To nie pierwszy raz, gdy dopuścił się takiego zachowania. Dlatego zależało mi, by przyłapać go na gorącym uczynku - przyznaje Szymon Jaworski z Ognicy (gm. Widuchowa).

Dlatego latem 2025 r. zamontował na swoim domu kamerkę. To właśnie przydomowy monitoring uchwycił sytuację, która stała się viralem.

Na nagraniu widać mężczyznę, który po wyjściu z samochodu podszedł do leżącego spokojnie psa. Chwycił zwierzę za kark, a następnie rzucił nim o jezdnię wyłożoną kostką brukową.

FOT. KPP GRYFINO/KADR Z FILMU

Chwycił psa za kark i rzucił nim o bruk. Jest wyrok sądu, lecz Gracjan S. wciąż nie trafił do więzienia

Namierzenie sprawcy nie było trudne. Okazał się nim znany w okolicy Gracjan S. 29-letni mieszkaniec niewielkiej Rynicy (gm. Widuchowa) został ujęty przez gryfińską policję już następnego dnia (27 lipca 2025 r.). Dwa i pół miesiąca później, 13 października 2025 r., prokurator skierował natomiast przeciwko niemu akt oskarżenia. Obejmował nie tylko „znęcanie się nad psem ze szczególnym okrucieństwem”, ale również kierowanie „gróźb karalnych pozbawienia zdrowia lub życia wobec dwojga osób” - właściciela czworonoga oraz jego partnerki.

„Rzuciłem tym psem, bo chciałem się na kimś wyżyć”

Oskarżony odpowiadał z wolnej stopy („W toku śledztwa wobec podejrzanego stosowane były środki zapobiegawcze w postaci dozoru policji połączonego z obowiązkiem stawiennictwa – cztery razy w tygodniu - w Komendzie Powiatowej Policji w Gryfinie oraz zakazu przyjmowania i posiadania zwierząt domowych i gospodarczych”). W styczniu 2026 r. nie stawił się na sali sądowej, wobec czego sędzia odczytała wyjaśnienia, które złożył podczas postępowania przygotowawczego.

- Przyznaję się do popełnienia zarzucanego czynu. Będę składał wyjaśnienia oraz będę odpowiadał na pytania. Żałuję, że to zrobiłem. Wstydzę się swojego zachowania. Z tego, co wiem, to psu nic się nie stało. Ja byłem pijany, gdy to zrobiłem. Wszedłem na podwórko, a ten pies mnie najpierw złapał. Chciał mnie ugryźć. Ja go odsunąłem, ale tego na kamerach nie będzie widać. Chciałbym dobrowolnie poddać się karze. Takie rzeczy nigdy wcześniej się nie zdarzyły. To jedyny raz, kiedy skrzywdziłem zwierzę. Zamierzam kupić karmę i zawieźć do schroniska, jako zadośćuczynienie - mówił Gracjan S. podczas pierwszych wyjaśnień, które złożył w Komendzie Powiatowej Policji w Gryfinie.

Podczas drugiego przesłuchania podtrzymał tę wersję, by przy „trzecim podejściu”... całkowicie zmienić front.

- Kłamałem co do tego zdarzenia. Złapałem tego psa, bo mnie w******ł. Ja wiedziałem, co robię. Byłem świadomy, pomimo że wypiłem sporo. Jestem skonfliktowany z właścicielem tego psa z powodu mojej siostry. Rzuciłem tym psem, bo chciałem się na kimś wyżyć. A gdy go zobaczyłem, to nie mogłem się oprzeć. Nie żałuję tego, co zrobiłem. Byłem w*******y. Ja nie kontroluję emocji. Gdy muszę wyładować emocję, to zrobię to na każdym, nie patrząc na konsekwencje. Wiem, że kłamałem od samego początku. Mam tego świadomość. Chcę ponieść odpowiednią karę. To wszystko, co mam do powiedzenia - odczytała sędzia Kołodzińska-Jordan z Sądu Rejonowego w Gryfinie, zaznaczając, że są to dokładnie słowa oskarżonego.

„Spotkam cię, to cię walę w p***ę i tyle będzie”

Podczas rozprawy sędzia odczytała również zapis nagrania głosowego z czerwca 2025 r.

- Ty, słuchaj. Słuchaj koleżko kolorowy. Słyszałem, że coś tam do Lucyny fikasz. Jeżeli masz problem, czy coś, to podejdę, p********ę cię w czapkę i tyle będzie. I tam wiesz, nie patrz mi się w twarz, k***a, bo złapię cię, k***o, złamię cię. I tę twoją blachę tak samo. Złapię i w*****ę ją do Rynicy na kopach. Jeszcze raz do Lucyny coś się odezwiesz, to cię złamię w p***u i tyle będzie, k***a. C***u j****y. Ciągnij kichę, c***u. Spotkam cię, to cię walę w p***ę i tyle będzie – wysłał Gracjan S. do Szymona Jaworskiego, krótko przed atakiem na jego psa.

Poszkodowany - na prośbę SSR - wyjaśnił, że Lucyna jest siostrą Gracjana, zaś „blacha” to pejoratywne określenie jego dziewczyny, która tak samo jak sprawca pochodzi z Rynicy. Zaakcentował, że nie jest spokrewniony z oskarżonym ani nigdy nie prowadził z nim żadnych interesów, które mogły stanowić zarzewie konfliktu.

- Jedyne, co łączy nasze rodziny, to dom wielorodzinny w Ognicy. Należał do mojego dziadka, ale po jego śmierci został podzielony na pół. W jednej części mieszka moja rodzina, a w drugiej siostra Gracjana. Co jakiś czas pojawiają się jakieś kłótnie, napięcia i groźby z jego strony. Odpalał się z byle powodu. Potrafił rzucić w moją stronę: „Nie patrz się, bo jak podejdę...”. Jest agresywny, nieobliczalny, zdolny do wszystkiego, a do tego uzależniony. Obawialiśmy się, że w końcu przekuje słowa w czyny. Udowodnił to w lipcu 2025 r., gdy przyjechał do Ognicy, a że nie zastał mnie, to wyżył się na moim psie - opowiadał właściciel czworonoga.

Wyrok bez „zawiasów”

Sędzia Izabela Kołodzińska-Jordan nie miała wątpliwości co do winy oskarżonego. Uznała Gracjana S. za winnego obu zarzucanych mu czynów i wymierzyła mu karę łączną 10 miesięcy pozbawienia wolności.

- Sąd podziela stanowisko prokuratury, że w tej sytuacji mamy do czynienia ze znęcaniem się nad zwierzęciem, a oskarżony działał ze szczególnym okrucieństwem. Wskazuje na to jego sposób działania. W ocenie sądu stopień społecznej szkodliwości czynu był bardzo wysoki. Brak jest mi słów na określenie i opisanie okrucieństwa oskarżonego wobec bezbronnego zwierzęcia. Mowa o niewielkim piesku, starszym wiekiem, który nie dość, że nie był agresywny wobec Gracjana S., to również nie sprowokował go żadnym działaniem. Wprost przeciwnie. Z nagrania wynika, że odnosił się w sposób ufny do oskarżonego. Zachowanie Gracjana S. w sposób rażący narusza nie tylko obowiązujące normy, ale zaprzecza również człowieczeństwu. Jego stosunek do istot żywych może budzić najgorsze skojarzenia i wspomnienia o oprawcach, którzy zdarzali się w historii. O ludziach mających za nic życie i zdrowie innych. Sam fakt wyjaśnień, w których oskarżony przyznawał, że rzucił psem, przepraszam za dosłowny cytat: „Bo go w*****ł”, oddaje istotę jego rozumowania. „Rzuciłem tym psem, bo chciałem się na kimś wyżyć. A gdy go zobaczyłem, to nie mogłem się oprzeć”. Z pełną świadomością zeznał też, że nie żałuje tego, co zrobił. Musiał odreagować emocje, takie było jego tłumaczenie. Dodał jeszcze na koniec: „Gdy muszę wyładować emocję, to zrobię to na każdym, nie patrząc na konsekwencje” Z niedowierzaniem słucha się takich słów i przyjmuje fakt, że człowiek może być tak okrutny i prezentować swoją postawę w sposób tak ostentacyjny - skomentowała wyrok SSR Izabela Kołodzińska-Jordan.

Nie zdecydowała się na warunkowe zawieszenie kary pozbawienia wolności, gdyż jak uznała: „Kara za ten czyn musi odnieść skutek w zakresie społecznego oddziaływania”, a wyrok ma stanowić przekaz, że „Takie działania - przy jakimkolwiek braku refleksji i skruchy - zawsze będą surowo traktowane”.

Ukradł... alkohol i pobił ochroniarza

Z podobnego założenia wyszedł Sąd Apelacyjny, do którego sprawa trafiła pod koniec lipca br.

- Wyrok został utrzymany w mocy, co oznacza, że Gracjan S. odbędzie karę 10 miesięcy pozbawienia wolności. Ponadto wobec mieszkańca gminy Widuchowa orzeczono pięcioletni zakaz posiadania „wszelkich zwierząt”, a także pięcioletni zakaz kontaktowania się i zbliżania (na odległość mniejszą niż 15 metrów) z dwójką poszkodowanych. Skazany został też zobowiązany do pokrycia kosztów sądowych oraz wpłacenia nawiązek finansowych: kwoty 5 000 zł na rzecz gryfińskiego „Kojca” oraz po 1 000 zł dla poszkodowanych - pisaliśmy we wrześniu na łamach „Głosu Szczecińskiego”.

Nie wiedzieliśmy wówczas, że wobec skazanego toczył się jednocześnie drugi proces.

- W sierpniu w Sądzie Rejonowym w Gryfinie zapadł ko-

eprasa.pl 3a1d233d4e

lejny wyrok w sprawie Gracjana S. Tym razem o pobicie - napisał w e-mailu jeden z czytelników, dołączając do wiadomości sygnaturę procesu.

Rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Szczecinie potwierdził, zdradzając szczegóły.

- Jest to wyrok skazujący Gracjana S. na karę osiemnastu miesięcy pozbawienia wolności za kradzież ze sklepu Biedronka dwóch butelek alkoholu, a następnie użycie przemocy wobec pracownika ochrony w celu utrzymania się w posiadaniu skradzionego alkoholu, czym wywołał uszkodzenie ciała tej osoby na okres powyżej 7 dni - powiedział nam sędzia Konrad Kujawa.

Jak twierdzi nasz informator, poszkodowanym w tej sprawie był obywatel Ukrainy, który w wakacje 2025 roku mieszkał w hotelu pracowniczym, znajdującym się w Ognicy. Tej samej miejscowości, w której Gracjan S. rzucił psem o bruk. Mimo prób nie udało nam się dotrzeć do pobitego mężczyzny, który nie mieszka już w opisywanym regionie.

- Myślę, że w całej tej sprawie istotne jest pokazanie jakie zaniedbania wykazały instytucje. Policja, kuratorzy, sądy. W momencie rzucenia psem Gracjan S. znajdował się pod nadzorem kuratora. Został zatrzymany, a później puszczony wolno, gdzie po kilku tygodniach dokonał kradzieży i pobicia. Gdyby kurator należycie sprawował swoją pracę może nie doszłoby do obu tych sytuacji. A gdyby sądy i policja działały, jak należy, to dziś siedziałby w więzieniu – uznaje nasz rozmówca.

„Gracjan sam nie pójdzie do więzienia"

Mimo dwóch prawomocnych wyroków Gracjan S. wciąż nie rozpoczął bowiem odbywania kary.

- Sąd Rejonowy w Gryfinie zgodnie z procedurą przekazał policji nakaz doprowadzenia prawomocnie skazanego Gracjana S. do zakładu karnego. Policja otrzymała ten dokument 10 sierpnia 2026 r. i jak dotąd sąd nie ma informacji o rozpoczęciu odbywania kary pozbawienia wolności. Jeżeli sąd w ciągu półtora miesiąca, od chwili przekazania nakazu doprowadzenia, nie otrzyma sygnału o doprowadzeniu do zakładu karnego, wystawi list gończy za skazanym - pisaliśmy 4 września.

Mimo upływu czterech tygodni nic w powyższej kwestii nie uległo zmianie.

- W pierwszej z tych spraw policja nie doprowadziła skazanego do zakładu karnego, więc została zarejestrowana sprawa w repertorium Ko i oczekuje na wydanie listu gończego, co powinno nastąpić w najbliższym czasie. W drugiej sprawie nakaz doprowadzenia wysłano policji 24 września 2026 r. - informuje nas sędzia Konrad Kujawa, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Szczecinie.

Szymon Jaworski (właściciel poturbowanego psa) nie ma żadnych wątpliwości.

- Gracjan sam nie pójdzie do więzienia. Będzie uciekał i ukrywał się, co już robi. Nie widziałem go od dawna w Ognicy, a wcześniej regularnie odwiedzał swoją siostrę - mówi poszkodowany.

Nie wiadomo, gdzie obecnie przebywa 30-latek. Możliwe, że znajduje się poza granicami Polski - w toku postępowania przygotowawczego przyznał bowiem, że na co dzień pracuje w Niemczech.

- Pracuję w niemieckiej firmie.

Jego siostrze odebrano zwierzęta

Niewielka miejscowość z gminy Widuchowa w ostatnich tygodniach jeszcze raz pojawiła się na naszych łamach. W podobnym kontekście.

- Pod koniec czerwca zadzwonił telefon z prośbą o ratunek. Mężczyzna, który prosił nas o pomoc, powiedział, że na podwórku jego sąsiadów leżą koty, a ich widok jest koszmarny - mówi w rozmowie z „Głosem Szczecińskim" Anna Kolat-Stajuda.

Okazało się, że konające koty należały do... siostry i szwagra Gracjana S.

- Dlatego od razu wysłałam pod wskazany adres jedną z wolontariuszek, Donatę. Trudno opisać to, co zobaczyła po przyjeździe. Na miejscu znajdowały się trzy kotki, matka oraz jej dzieci. Wszystkie w stanie krytycznym. Zwierzęta, które leżały na podwórku nie miały oczu, a muchy składały już na nich jaja - opowiada nasza rozmówczyni.

Właściciele wprawdzie przekazali zwierzęta, lecz mimo to finał interwencji okazał się dramatyczny.

- Matki nie udało się uratować. Lekarka po wstępnym badaniu określiła stan jako agonalny, a dalsze jej utrzymywanie przy życiu przysporzyłoby kotce tylko więcej bólu i cierpienia. Testy na panleukopenię wyszły dodatnie. Do tego potworna anemia, a w pyszczku pełno ran i nadżerek. Muchy zdążyły złożyć już jaja. Była skrajnie wychudzona i odwodniona. Odeszła w gabinecie, nie przeżył też jej prążkowany maluszek - mówi Anna Kolat-Stajuda.

Przetrwała jedynie kilkutygodniowa kotka.

- Niestety, straciła oczy. Próbowaliśmy, ale było za późno. Po prostu „zjadł je" koci katar - mówi szczecińska wolontariuszka, opisując skutki zaawansowanego zakażenia.

Piesek został ojcem

Happy endem zakończyła się jedynie sprawa „pierwszego poszkodowanego czworonoga".

- Piesek ma się dobrze, chociaż w lipcu poprzedniego roku trochę się o niego martwiliśmy. Gdy otrząsnął się po ataku, to gdzieś nam uciekł. Szukaliśmy go wtedy do 3.00 w nocy. O godz. 4.30 złapała go kamera. Przyszedł pod dom coś zjeść i się napić, ale znów uciekł. Dopiero dwa dni później przyszedł normalnie pod dom. Widział otwarte drzwi od mojego samochodu i wskoczył do środka. Pojechaliśmy do weterynarza. Miał dwa krwiaki przednie i jeden pod łapą, ale pani doktor powiedziała, że wszystko jest z nim okej - mówi właściciel.

Chociaż już wówczas - co zaakcentowała w wyroku sędzia Izabela Kołodzińska-Jordan - był „wiekowym pieskiem", niespodziewany atak nie wpłynął na jego zdrowie ani... sprawność.

- Mimo że ma już piętnaście lat, to niedawno... został tatą - powiedział Szymon Jaworski, przesyłając do naszej redakcji fotografię ojca z synem.

REKLAMA
0011584380

Ministerstwo Cyfryzacji

Poznaj 10 zasad cyberbezpieczeństwa

Dowiedz się więcej na bezpiecznydzien.pl

Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
NASK

eprasa.pl 3a1d233d4e

LUDZIE

Jego głos znają parafianie. Mało kto wie, że jego kompozycje grają w całym kraju

Urodził się Mińsku, ukończył tamtejszą Białoruską Państwową Akademię Muzyczną, skomponował kilka uznanych dzieł. Dziś mieszka w Koszalinie i wkrótce ruszy w trasę po Polsce ze swoim najnowszym utworem - kantatą na chór, solistów, orkiestrę i fortepian. Poznajcie Igora Jankowskiego, na co dzień organistę w koszalińskiej parafii pw. Ducha Świętego.

Piotr Polechoński

FOT. RADOSŁAW BRZOSTEK

Igor Jankowski jest organistą w parafii pw. Ducha Świętego w Koszalinie. Jest też kompozytorem, autem wielu utworów, w tym dużych kompozycji.

Parafianie jego muzyczny styl i głos dobrze znają, bo pracuje tu od pięciu lat. Nie wszyscy jednak wiedzą, że Igor Jankowski ma na swoim koncie wiele uznanych kompozycji - w tym tę najnowszą „PAX CORDIS", która w przyszłym roku będzie miała swoją uroczystą premierę. Równie mało osób wie, że jego życiorys jest bardzo bogaty i zaczyna się w dalekim Mińsku.

W stolicy Białorusi urodził się 43 lata temu. Pochodzenie ma polskie, ale przez pierwsze lata swojego życia nie pielęgnował polskich tradycji, nie myślał o emigracji do Polski. Swoje życie wiązał z Mińskiem, gdzie w miejscowej Akademii Muzycznej zdobył dyplom na kierunku Komponowanie i Dyrygentura. Po studiach miał już zaplanowaną ścieżkę kariery, ale wszystko zmieniła pewna dziewczyna z Polski.

- Poznałem swoją przyszłą żonę i znalazłem się w Polsce – mówi z uśmiechem Igor Jankowski. - w 2010 roku wzięliśmy ślub i przez kolejne lata mieszkaliśmy w różnych miejscach w kraju, w zależności od różnych projektów muzycznych, które akurat realizowałem. W międzyczasie pojawiły się dzieci, ja opanowałem język polski – wspomina.

Pięć lat temu Igor Jankowski wraz z rodziną trafił do Koszalina, rodzinnego miasta swojej żony. Ona znalazła pracę jako nauczycielka w szkole, on jako organista w parafii Ducha Świętego (współpracuje też muzycznie z innymi instytucjami w mieście).

Ma dużo muzycznych zleceń, nie tylko jako organista, wykonuje je tak, jak życzą sobie zleceniodawcy. Ale co jakiś czas jego artystyczna dusza upomina się o swoje. Wtedy każda wolna chwila to gorączkowe i pełne pasji komponowanie. Rano przed pracą, wieczorami, gdy już wszyscy w domu śpią. Tak było przez ostatnie pół roku. Właśnie skończył swoje najnowsze dzieło: kantatę, czyli niesceniczny utwór muzyczny przeznaczony dla głosów wokalnych z towarzyszeniem orkiestry. Tytuł to „PAX CORDIS", czyli „Pokój serca".

- To duża kompozycja, ale już nie na organy. Została rozpisana na fortepian, chór, orkiestrę smyczkową oaz narratorów i solistów - wymienia Igor Jankowski. Dodaje, że jego najnowsza kantata trwa godzinę, a swoją uroczystą premierę będzie miała 12 czerwca w Kościele Mariackim w Białogardzie. Co ważne, całe dzieło - łącznie z tekstem, którego autorami są Małgorzata Borzeszkowska i sam kompozytor - zyskało akceptację ze strony kościelnej i patronat ze strony biskupa koszalińskiego Krzysztofa Zadarki.

- To dla mnie jest bardzo ważne, bo moja twórczość ma w dużej mierze charakter religijny - podkreśla nasz rozmówca. Dlaczego „PAX CORDIS"? - Bo tego pokoju tak bardzo nam brakuje. Społeczeństwo w Polsce jest bardzo podzielone, tyle jest w nas gniewu, tego niepokoju właśnie. Wspominam gniew nieprzypadkowo, bo to jeden z siedmiu grzechów głównych, a tekst naszej kantaty podzielony jest na siedem rozdziałów, każdy z nich odwołuje się do tych naszych siedmiu głównych ludzkich ułomności. Moim celem było stworzenie kompozycji muzycznie spójnej i atrakcyjnej, która prowokowałaby słuchaczy do głębszej refleksji nad ludzką naturą, nad naszą relacją z Bogiem i nad naszymi wzajemnymi relacjami. I mam nadzieję, że to mi się udało - dodaje organista z parafii Ducha Świętego.

Czerwcowy koncert w Białogardzie nie będzie jedyną okazją wysłuchania dzieła Igora Jankowskiego. Jego kantata będzie grana w wielu miejscach diecezji koszalińsko - kołobrzeskiej i poza nią, zarówno w świątyniach jak i poza nimi, w świeckich salach. Kompo-

FOT. RADOSŁAW BRZOSTEK

eprasa.pl 3a1d233d4e

zytorowi z Koszalina od lat pomagają wolontariusze, którzy włączają się w organizację takich występów, stale też współpracuje z uznanymi muzykami i śpiewakami, którzy wykonują jego utwory. Tak działo się też w czasie, gdy wcześniej skomponował dwie inne głośne kantaty: „Dekalog" (na chór, solistę, smyczki i narratorów do słów Małgorzaty Borzeszkowskiej w dziesięciu częściach nawiązujących do dziesięciu przykazań) oraz Ekumeniczną Kantatę „Mysterium Fidei".

- W tym drugim przypadku, jak sama nazwa wskazuje, dążyłem do religijnego pojednania przez muzykę, starałem się zaprezentować tradycje różnych kościołów. I wschodnich, i rzymsko - katolickiego. Premiera tej kantaty odbyła się na Białorusi w 2009 roku, w Polsce po raz pierwszy została wykonana w 2017 roku w Lęborku - opowiada.

Jego muzyczne kompozycje to nie tylko te główne, szeroko znane dzieła, ma na swoim koncie kilkadziesiąt mniejszych i większych utworów. Prawie wszystkie spośród nich były wykonane publicznie w różnych miastach polskich i europejskich (ponad 150 wykonań).

FOT. RADOSŁAW BRZOSTEK

Wszyscy ciekawi muzycznego stylu Igora Jankowskiego mogą posłuchać jak gra w trakcie Mszy świętych i nabożeństw w kościele w koszalińskiej parafii.

- Jestem tu niemal codzienne, także serdecznie zapraszam - uśmiecha się nasz rozmówca. Przyznaje, że w swojej pracy organisty starała się łączyć tradycyjne utwory z kompozycjami, które są nową, jego autorską propozycję zarówno jeśli chodzi o muzykę jak i słowa.

\- Co na to parafianie? Mówią, że im się podoba. A czasem nawet spytają o ten utwór, czy inny, dlaczego taka linia melodyczna, takie słowa, jakie jest ich znaczenie. I te ludzkie, proste emocje to jest największa nagroda dla mnie jako kompozytora i organisty. Bez nich moja praca nie miałaby sensu - mówi.

Zapowiada też, że kantata „PAX CORDIS" nie jest jego ostatnią, dużą kompozycją. W przyszłości chce zacząć prace nad kolejnym utworem.

- Chciałbym, aby mój nowy muzyczny temat został zbudowany wokół Eucharystii. Jej znaczenia, roli, symboliki w świecie chrześcijańskim i poza nim. W moim komponowaniu takim nadrzędnym celem jest szukanie tego, co tworzy wspólnotę, mostów, które łączą, akcentowanie tego, co w naszym życiu jest dobre i wartościowe. Bo właśnie tego dobra i tych wartości tak bardzo nam w dzisiejszych czasach brakuje - podkreśla Igor Jankowski.

AUTOREKLAMA 0011593232

7 listopada w Koszalinie pobiegniemy dla jaj!

Monika Latkowska

7 listopada Forum Koszalin stanie się miejscem sportowego wydarzenia dla całych rodzin. W ramach „Biegu dla jaj" odbędą się bieg główny, marsz nordic walking oraz biegi dla dzieci.

Trasa biegu głównego liczy 5,4 km. Wystartujemy o godz. 12.00 sprzed Forum Koszalin, pobiegniemy w stronę Wodnej Doliny, wokół której poprowadzi część trasy, a następnie wrócimy na metę przy centrum handlowym. Uczestnicy wystartują z numerami startowymi, a ich wyniki zostaną zmierzone elektronicznie. Każdy, kto ukończy trasę, otrzyma pamiątkowy medal. Na trzy najszybsze kobiety i trzech najszybszych mężczyzn czekają wyjątkowe nagrody - vouchery na dwudobowy pobyt z pełnym wyżywieniem w Factory Resort w Kołobrzegu. Łącznie do zdobycia jest aż 6 voucherów, ufundowanych przez Factory Resort.

Bieg główny rozpocznie się o godz. 12.00, marsz nordic walking o godz. 13.00, a biegi dziecięce o godz. 14.00.

Bieg dla nie tylko dla panów

Nazwa wydarzenia nawiązuje do jego głównej idei - zwrócenia uwagi na profilaktykę zdrowia mężczyzn. Nie oznacza to jednak, że w biegu mogą uczestniczyć wyłącznie panowie. Na starcie czekamy także na biegaczki.

Na starcie będą dopingować Was nasi ambasadorzy mistrzyni olimpijska Małgorzata Hołub-Kowalik oraz medalista Mistrzostw Polski w triatlonie i duatlonie Wojciech Parcheta.

Ruch i profilaktyka w jednym miejscu

Listopad to miesiąc, w którym szczególnie dużo mówi się o profilaktyce męskich nowotworów. „Bieg dla jaj" ma przypominać, że o zdrowie warto zadbać wcześniej, a nie dopiero wtedy, kiedy pojawiają się niepokojące objawy.

Dlatego sportowa część naszego wydarzenia zostanie połączona z strefą badań profilaktycznych dla mężczyzn. W Forum Koszalin w godz. 10.00-18.00 panowie będą mogli skorzystać z: USG jąder - dla mężczyzn w wieku 18-45 lat oraz badania PSA z kropli krwi - dla mężczyzn powyżej 45. roku życia. Badania będą bezpłatne i nie będą wymagały wcześniejszych zapisów, jednak ich liczba będzie ograniczona.

Zapisz się na start

Do 7 listopada został już niespełna miesiąc, warto już dziś zapewnić sobie miejsce na liście startowej. Aby wziąć udział w naszym biegu, konieczna jest wcześniejsza rejestracja na stronie www.gk24.pl/biegdajaj Do zobaczenia na starcie!

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORA

ORGANIZATOR: GK 24.pl

WSPÓŁORGANIZATOR: FORUM KOSZALIN

MECENAS: GRUPA MOJSIUK

PARTNERZY: 760 KOSZALIN Centrum Pomorza; Mec #ZielonyKoszalin; ZDROFIT; BB Bank Bałtycki Bank Spółdzielczy; Politechnika Koszalińska

PARTNER WSPIERAJĄCY: 1885 FACTORY RESORT

eprasa.pl 3a1d233d4e

KSIĄŻKI

Szczecin nie tylko w tle, czyli „Sekret czerwonego Mustanga”

Czerwony Mustang, zaginiony dziennikarz śledczy, tajemnica sięgająca 1959 roku i Szczecin, który jest czymś więcej niż tylko tłem wydarzeń. Już 15 października premierę będzie miała „Hannah”, trzecia książka Zbigniewa Jarzembka, ale wcześniej czytelnicy mogą sięgnąć po „Sekret czerwonego Mustanga”. W rozmowie z nami autor opowiada o motoryzacji, Szczecinie, rodzinnych tajemnicach i tym, dlaczego początek XXI wieku był dla niego ciekawszy niż współczesność.

Marek Jaszczyński

FOT. ARCHIWUM

Zbigniew Jarzembek, autor „Sekretu czerwonego Mustanga” w rozmowie o swojej książce

Zaczyna pan historię od czerwonego Mustanga. Dlaczego właśnie samochód miał być kluczem do całej opowieści?

Jeżeli przyjąć, że właściwa historia zaczyna się od pierwszego rozdziału, z pominięciem prologu, to rzeczywiście tytułowy Mustang staje się jednym z jej głównych bohaterów. Od samego początku wiedziałem, że musi to być wyjątkowy samochód, taki, który mimo upływu lat niezmiennie pozostaje legendą. W latach sześćdziesiątych Mustang był marzeniem niejednego kierowcy i myślę, że do dziś niewiele się pod tym względem zmieniło. A ponieważ w moich żyłach płynie benzyna, czasami, jako mechanikowi, niemal dosłownie, było właściwie przesądzone, że symbolem i nośnikiem rodzinnej tajemnicy zostanie właśnie samochód, a nie inna rodzinna pamiątka.

W książce Szczecin nie jest tylko scenografią. Czy są miejsca, które podczas pisania wręcz „narzuciły” panu konkretną scenę albo wydarzenie?

Było raczej odwrotnie, to ja szukałem w Szczecinie miejsc, które najlepiej pasowałyby do wymyślonych przeze mnie scen. Szczecin jest jednym z tych punktów na mapie, które dla wielu Polaków wciąż pozostają pewną tajemnicą. Być może dlatego, że stanowimy trochę samotną wyspę, położoną daleko od innych dużych miast. Wiedziałem jednak, że nie chcę przedstawiać Szczecina wyłącznie przez jego najbardziej oczywiste symbole: Wały Chrobrego, szczecińskiego pasztecika czy Trasę Zamkową, która oferuje najpiękniejszy wjazd do centrum miasta, jaki widziałem w życiu a widziałem ich naprawdę sporo. Szczecin niedawno zajął pierwsze miejsce w jednym z rankingów Business Insider Polska, a moim zdaniem sam wjazd Trasą Zamkową zasługuje na miejsce w europejskiej pierwszej dziesiątce (gdyby oczywiście istniał taki ranking :)). Dlatego właśnie tą trasą do centrum Szczecina wjeżdżają moi ulubieni antagoniści. Oczywiście z geograficznego punktu widzenia zdążyli już wcześniej przejechać przez sporą część miasta. Ulica Struga, szczególnie w okresie, w którym rozgrywa się akcja, nie była jednak na tyle atrakcyjna, abym chciał poświęcić jej więcej miejsca. I mówię to pomimo faktu, że właśnie prawobrzeżna część Szczecina jest jednym z najważniejszych bohaterów książki.

W książce pojawia się zaginiony dziennikarz śledczy. Czy postać Andrzeja Stachury jest całkowicie fikcyjna, czy można w niej znaleźć cechy prawdziwych szczecińskich dziennikarzy?

Andrzej Stachura jest postacią całkowicie fikcyjną i nie wzorowałem go na żadnym konkretnym szczecińskim dziennikarzu. Potrzebowałem jednak bohatera, którego zawód w naturalny sposób tłumaczyłby dociekliwość, determinację i gotowość do zadawania niewygodnych pytań. Są to cechy, które można odnaleźć u wielu dobrych dziennikarzy śledczych, również tych pracujących w Szczecinie. Jeżeli więc ktoś dostrzeże w Stachurze podobieństwo do znanej sobie osoby, będzie to raczej wynik wiarygodnego przedstawienia tego zawodu niż celowego stworzenia czyjegoś literackiego portretu. Żaden szczeciński dziennikarz nie powinien zatem czuć się sportretowany ani szczególnie zaniepokojony, zwłaszcza jeśli weźmie pod uwagę losy bohatera.

Jest pan przedsiębiorcą i mechanikiem samochodowym. Na ile właśnie ta wiedza techniczna wpłynęła na konstrukcję książki?

Wpłynęła bardzo mocno. Wielu czytelników mówi mi, że w książce wyraźnie czuć pasję do motoryzacji, i muszę przyznać, że jest to całkowicie zamierzone. Autorzy często wykorzystują swoją wiedzę i doświadczenie. U Leszka Hermana bardzo wyczuwalna jest przecież dbałość o detale architektoniczne, a u mnie podobną rolę odgrywa motoryzacja. W filmach i książkach często powielane są błędy, które sprawiają, że scena natychmiast traci dla mnie wiarygodność. Klasycznym przykładem jest uruchamianie współczesnego samochodu przez zwarcie przewodów pod kolumną kierownicy. Przy elektronicznych zabezpieczeniach i immobilizerze nie wygląda to tak, jak pokazuje kino. Podobnie jest z próbą pozbawienia samochodu hamulców przez zwyczajne przecięcie przewodu hamulcowego. Dla mechanika to motoryzacyjna bujda na resorach. Jeżeli ktoś chce się dowiedzieć, jak mógłby to zrobić zawodowiec, powinien przeczytać książkę. Chociaż może lepiej, żeby jednak nie wiedział.

Co było trudniejsze: wymyślenie kryminalnej intrygi czy osadzenie jej w prawdziwym Szczecinie?

Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to zarozumiale, ale ani wymyślenie intrygi i bohaterów, ani osadzenie historii w moim mieście nie sprawiły mi większego kłopotu. Mam natomiast inny problem. Mam zdiagnozowane ADHD i zwyczajnie nie potrafię stworzyć powieści, w której czytelnik może na chwilę spokojnie odetchnąć. Akcja pędzi na złamanie karku, podobnie jak moje życie. Już 15 października odbędzie się premiera mojej trzeciej książki, „Hannah”. Mam nadzieję, że tym razem udało mi się trochę zwolnić, chociaż nie jestem tego w stu procentach pewien.

W książce spotykają się rok 1959 i rok 2004. Dlaczego właśnie te dwie epoki? Co pana w nich najbardziej fascynuje?

„Sekret czerwonego Mustanga” jest kontynuacją mojej debiutanckiej powieści „Dwie czwórki” i właśnie tam należy szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego wybrałem rok 1959. Nie chcąc zdradzać zbyt wiele, wspomnę jedynie, że pierwsza książka została zainspirowana rodzinnymi tajemnicami, szczególnie losami bliskich mojego dziadka z okresu II wojny światowej. Dlatego w historycznych wątkach obu powieści pozostaję w ramach czasowych, w których skutki wojny nadal bardzo wyraźnie wpływały na życie bohaterów. Jeżeli chodzi o rok 2004, uznałem, że początek XXI wieku jest znacznie atrakcyjniejszy literacko niż współczesność. Był to moment przejściowy pomiędzy światem analogowym a cyfrowym. Istniały już telefony komórkowe i internet, ale zdobycie informacji, odnalezienie człowieka czy rozwiązanie zagadki nie sprowadzało się jeszcze do kilku kliknięć. Dzisiejsze czasy są dla nas, milenialsów, zwyczajnie zbyt łatwe, a przez to nieco mniej wdzięczne dla autora powieści przygodowej.

eprasa.pl 3a1d233d4e

PASJE

Da się trafić do celu z ponad jednego kilometra? Przemyślanin to potrafi

Karabin oparty na dwójnogu, z tyłu poduszka, przy oku luneta. Tarcza jest daleko, bardzo daleko. Dla laika to tylko niewielki punkt na końcu ogromnego poligonu. Dla Tomasza Jastrząbka to cel, do którego trzeba dopasować wszystko: odległość, wiatr, temperaturę, ustawienie karabinu, pozycję ciała i oddech.

FOT. ARCHIWUM

Sam strzał jest końcem skomplikowanego procesu przygotowań

Norbert Ziętal

Jeden błąd może sprawić, że pocisk minie cel o kilka, a przy niektórych warunkach nawet kilkanaście centymetrów. Przy dystansie ponad kilometra każdy metr ma znaczenie.

Tomasz Jastrząbek z Przemyśla od kilku lat należy do czołówki zawodników strzelectwa długodystansowego. Startuje między innymi na 300, 600 i 800 metrów, a podejmuje się również strzelania na dystansach przekraczających kilometr. Z ostatnich mistrzostw Europy w Drawsku Pomorskim przywiózł cztery medale: złoty, srebrny i dwa brązowe.

Zaczęło się od wiatrówki

Pierwszy kontakt z bronią miał jeszcze jako dziecko. – U mnie w domu cały czas było strzelanie. Mój tato miał wiatrówkę, jeździł na zawody. Ja już od małego miałem kontakt z bronią i tak zacząłem – wspomina.

Później pojechał na strzelnicę. Musiał pożyczyć karabin, bo jeszcze nie miał swojego. Szybko okazało się, że nawet z cudzej broni potrafi osiągać dobre wyniki. Z czasem kupił własną. Zaczął poznawać sprzęt, ustawienia i wszystkie szczegóły, które w przyszłości miały decydować o wyniku. – Wszystko robiłem sam. Dobór sprzętu, ustawienia karabinu, lunety – mówi.

Na pierwsze poważniejsze zawody pojechał do Skarżyska-Kamiennej. Podczas treningu organizator zauważył, że nowy zawodnik radzi sobie całkiem dobrze. Zaproponował mu start w mistrzostwach Polski. Pan Tomasz nie miał jeszcze dużego doświadczenia, ale spróbował. Efekt? Drugie miejsce. To był dopiero początek. W 2021 roku pojechał na mistrzostwa Europy do Drawska Pomorskiego. Był to jego debiut w tej imprezie. – Pierwszy raz pojechałem na mistrzostwa Europy, a wygrałem cały turniej i przywiozłem złoto. To było coś niesamowitego – wspomina.

Od tamtej pory regularnie pojawia się na najważniejszych zawodach. Na jego koncie jest ponad 30 medali mistrzostw Polski, Europy i dużych zawodów międzynarodowych.

Nie wystarczy wycelować

Z boku strzelectwo długodystansowe może wyglądać jak sport, w którym liczy się przede wszystkim celność. Jednak sam strzał jest dopiero końcem całego, skomplikowanego procesu. Najpierw trzeba znać dokładną odległość, ocenić warunki i odpowiednio ustawić poprawki. Problem w tym, że na dużym poligonie warunki przy stanowisku strzeleckim mogą być zupełnie inne niż kilkaset metrów dalej. Podstawowe konkurencje rozgrywane są na 300, 600 i 800 metrów. Są też dystanse przekraczające kilometr. Podczas tegorocznych zawodów pan Tomasz strzelał na 1057 metrów. – Zawody na strzelnicy i na dużym poligonie to dwie różne konkurencje. Na strzelnicy wszystko można przewiedzieć, a poligon to duży obszar, tam wiatr ma się gdzie rozpędzić – tłumaczy.

Właśnie wiatr jest jednym z największych przeciwników każdego zawodnika. Przy krótkim dystansie jego wpływ można czasem zlekceważyć. Przy 800 czy 1000 metrach nie ma już takiej możliwości. Powietrze pomiędzy strzelcem a tarczą może zachowywać się różnie na kolejnych odcinkach toru lotu pocisku. Zawodnik musi przewidzieć, jak te zmiany wpłyną na strzał. Najpierw trzeba więc zmierzyć rzeczywistą odległość. Nie robi się tego „na oko". Tomasz, podobnie jak inni zawodnicy, korzysta z dalmierza. – Każdy metr jest ważny. Niewielka pomyłka, a kula trafi w zupełnie w inne miejsce – wyjaśnia.

W obliczeniach pomagają kalkulatory balistyczne. Ten sprzęt pozwala szybko przeliczyć potrzebne poprawki, ale nie rozwiązuje wszystkich problemów. Na dużym poligonie pogoda potrafi zmienić się szybciej, niż zawodnik odda kolejne strzały. Dlatego doświadczeni strzelcy obserwują nie tylko urządzenia. Patrzą także na powietrze. Praktyka jest o wiele ważniejsza niż najlepsze urządzenia.

Wiatr widać przez lunetę

Przemyślanin mówi o mirażu. Przez lunetę można zobaczyć charakterystyczny ruch ogrzanego powietrza nad ziemią. Dla początkującego strzelca może być niemal niezauważalny. Dla doświadczonego zawodnika staje się kolejną wskazówką dotyczącą siły i kierunku wiatru. – Jak się zobaczy przez lunetę, to widać, pod jakim kątem wiatr to gorące powietrze przesuwa – tłumaczy.

Z czasem można nauczyć się rozpoznawać różnice. Inaczej wygląda miraż przy słabym wietrze, inaczej przy mocniejszym. Właśnie dlatego w tej dyscyplinie trudno zastąpić doświadczenie samym sprzętem. Można kupić dobry karabin, lunetę, dalmierz i kalkulator balistyczny. Nie można jednak kupić lat spędzonych na obserwowaniu zachowania pocisku w różnych warunkach.

Na stanowisku zawodnik leży. Karabin z przodu oparty jest na dwójnogu, z tyłu na specjalnej poduszce. Pozycja musi być stabilna, ale jednocześnie pozwalać na sprawne przechodzenie pomiędzy kolejnymi dystansami.

W klasie Semi-Auto Open, w której startuje Tomasz, trójbój obejmuje 300, 600 i 800 metrów. Na każdym dystansie trzeba oddać dziesięć strzałów. Na wszystko jest 18 minut.

– Osiemnaście minut jest na trzy dystanse. Na 300 metrów dziesięć strzałów, na 600 metrów dziesięć i na 800 następnych dziesięć. Razem z przeładowaniem, z przeliczeniem, z zobaczeniem tego wiatru, ze wszystkim trzeba się zmieścić w osiemnaście minut – wylicza pan Tomasz.

Podczas zawodów w Drawsku Pomorskim było jeszcze trudniej. Ze względu na fatalne warunki pogodowe czas skrócono do 15 minut. – To był wyścig z czasem – mówi.

W kwadrans trzeba zmienić dystans, obserwować wiatr, przeładować broń, oddać strzały i pilnować wyniku. Nie ma miejsca na długą przerwę. Z drugiej strony pośpiech również może kosztować punkty.

W tej dyscyplinie znaczenie ma także ułożenie ciała. Przemyślanin nie zatrzymuje całkowicie oddechu. Najlepiej strzela mu się na półoddechu, ponieważ przy całkowitym wypuszczeniu powietrza po pewnym czasie zaczyna odczuwać dyskomfort.

Jeszcze jeden szczegół. Policzek musi być stabilnie oparty o kolbę. – Jak się brodą dotyka karabinu czy policzkiem, to musi być oparty. Ja przynajmniej tak robię o kość policzkową. Jeżeli ktoś tego nie zrobi, to widać nawet na lunecie puls – mówi.

Strzelanie długodystansowe to niezwykle precyzyjny sport. Zawodnik leży nieruchomo, a przez lunetę może zobaczyć nawet delikatne drgania wynikające z własnego pulsu. Nie ma tu miejsca na przypadkowe ruchy.

Karabin też trzeba znać

Pan Tomasz używa dwóch karabinów, ponieważ startuje w dwóch klasach sprzętowych. Jeden to amerykański Lancer L30 kalibru 6,5 Creedmoor. Kupił go w 2018 roku i od tego czasu praktycznie niczego w nim nie zmieniał.

Drugi został zbudowany specjalnie według jego założeń, z wybranymi przez niego komponentami. – Długość lufy, skręt, długość lufy. Każdy element dostosowałem pod siebie – opowiada. W klasie Standard używa karabinu o kalibrze 308 Winchester, którego masa wraz z wyposażeniem musi mieścić się w limicie określonym w regulaminie. Ważną częścią wyposażenia są lunety. Pan Tomasz korzysta ze sprzętu firmy Schmidt & Bender, ale wśród zawodników popularne są także inne specjalistyczne marki. Nie ma jednak jednego celownika, który pasowałby każdemu. – Każdy ma inne oko. Musi popatrzeć sobie przez szkło i wybrać najlepsze – mówi.

Czy snajper musi mieć sokole oko? To największy mit, bo okazuje się, że nie. Pan Tomasz ma wadę wzroku, ale odpowiednie ustawienie optyki pozwala mu widzieć obraz wystarczająco wyraźnie. Współczesne lunety umożliwiają dopasowanie dioptrii do konkretnego oka.

W historii wyczynowego sportowca najbardziej zaskakuje być może to, że pan Tomasz nie trenuje regularnie tak często, jak można by się spodziewać. Powód jest prosty. Prowadzenie firmy i codzienne obowiązki sprawiają, że na częste wyjazdy na strzelnicę zwyczajnie brakuje mu czasu. Kilka lat temu trenował więcej. Wtedy przekonał się również, że przesada może przynieść odwrotny skutek. – Kilka lat temu miałem tak po prostu, że trenowałem i się przetrenowałem. To jest dla mnie gorsze niż nietrenowanie – mówi.

Tegoroczne mistrzostwa Europy przyniosły jeszcze jedną historię. Tuż przed zawodami zepsuł mu się karabin. Udało się go naprawić, ale Tomasz nie zdążył już oddać ani jednego strzału. Na zawody pojechał bez treningu, bez „rozstrzelania". Wrócił z... czterema medalami. Nie oznacza to, że trening jest w tym sporcie niepotrzebny. Tomasz uważa jednak, że oprócz pracy i doświadczenia potrzebne są również określone predyspozycje. – Można powiedzieć, że wytrenować można do pewnego stopnia. Ale później to już jednak trzeba mieć tak, że to się mówi: albo się ma to coś, albo nie ma – twierdzi .

Mundurowi i pasjonaci

Na zawodach spotykają się przedstawiciele różnych środowisk. Jest sporo policjantów i żołnierzy, ale są również cywile, sportowcy i osoby, które po prostu znalazły w strzelectwie swoją pasję. Pan Tomasz przyznaje, że bez niej trudno byłoby osiągać dobre wyniki. Ten sport wymaga ciągłego szukania odpowiedzi na pytanie, dlaczego jeden strzał był lepszy od drugiego i co sprawiło, że pocisk znalazł się akurat w tym miejscu tarczy. – Kto ma pasję, po prostu bardziej się tym interesuje, bardziej docieka. I przez to podwyższa swoje umiejętności – mówi.

Sam nie jeździ na wszystkie możliwe zawody. Wybiera przede wszystkim najważniejsze – mistrzostwa Polski, Europy oraz duże imprezy międzynarodowe. Jego dorobek to już ponad 30 medali.

Strzelectwo w Polsce w ostatnich latach wyraźnie zyskało na popularności. Dane Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego pokazują wzrost liczby licencjonowanych zawodników i klubów, a coraz więcej osób pojawia się również na strzelnicach.

Pan Tomasz zauważył tę zmianę także w swoim najbliższym otoczeniu. Jak mówi, przed rosyjską agresją na Ukrainę zdarzali się znajomi, którzy pytali go, po co właściwie posiada broń i dlaczego interesuje się strzelectwem. Po wybuchu wojny pytania często były już inne. – Odkąd wybuchła wojna, to już zaczęli do mnie dzwonić, jak wyrobić sobie pozwolenie, co to trzeba zrobić – opowiada.

Jego zdaniem większe zainteresowanie bronią powinno oznaczać również większą wiedzę na temat bezpieczeństwa. – Broń to nie jest zabawka. To jest narzędzie od początku wymyślone do zabijania. Nie ma się co oszukiwać – podkreśla.

©℗

eprasa.pl 3a1d233d4e

OBYCZAJE

Nieprzemijający urok studenckich lat

Dziś w Łodzi studiuje około 70 tysięcy osób. Niewiele. W latach 2005-2010 było ich aż 130 tysięcy. Warto jednak przypomnieć, że jeszcze w 1975 roku w Łodzi mieszkało zaledwie 30 tysięcy studentów.

Anna Gronczewska

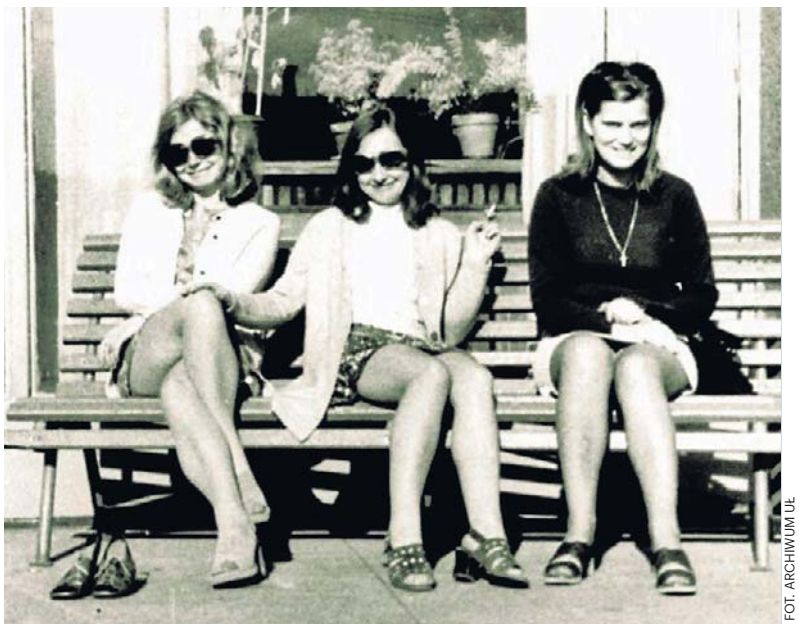

FOT. ARCHIWUM UŁ

Studentki na ulicach Łodzi. Zdjęcie z przełomu lat 60. i 70.

FOT. ARCHIWUM UŁ

Pokój w żeńskim akademiku przy Al. Kościuszki w Łodzi. Rok 1946

Mateusz pochodzi z niewielkiej miejscowości pod Sieradzem i studiuje na drugim roku Politechniki Łódzkiej.

– Nie narzekam – mówi. – Mieszkam w akademiku w dwuosobowym pokoju. Razem z kolegą płacimy po około 600 zł miesięcznie. Warunki mamy całkiem niezłe, dobrze się dogadujemy. W pokoju jest łazienka. Można też niedrogo zjeść obiad na stołówce PŁ. Śniadania i kolacje przygotowujemy sami. Czasem zamiast stołówki wybieram chińską restaurację albo McDonalda. Zwykle w piątki robimy imprezę w akademiku albo wychodzimy na Piotrkowską. Sesję zaliczyłem bez większych problemów, choć wszyscy straszyli, że pierwszy rok jest najtrudniejszy. Studiuję na Wydziale Mechanicznym.

Nie wszyscy jednak dostają miejsce w akademiku. Wówczas muszą szukać pokoju na prywatnej stancji lub miejsca w prywatnym akademiku. Pokój dwu- lub trzyosobowy kosztuje tam od 1140 do 1590 zł miesięcznie. Za jedynkę trzeba zapłacić nawet 2500 zł.

Patrycja studiuje zarządzanie na Uniwersytecie Łódzkim, a Ola medycynę na Uniwersytecie Medycznym. Obie pochodzą spoza Łodzi – Patrycja z Kielc, a Ola z Konina. Poznały się przez wspólnego znajomego i wspólnie wynajęły mieszkanie w bloku na Bałutach. Każda ma własny pokój.

Za wynajem płacą około 2200 zł miesięcznie. Do tego dochodzą rachunki za media.

– Nie jest źle. Mamy tu lepsze warunki do nauki niż w akademiku – podkreślają.

Siedem najpiękniejszych lat

Gdy 84-letni Janusz Szczepaniak przejeżdża dziś tramwajem obok „Lumumbowa", zawsze spogląda w stronę osiedla studenckiego. Wspomnienia wracają natychmiast.

– Spędziłem tam siedem najpiękniejszych lat swojego życia – mówi emerytowany matematyk. – Mieszkałem w akademiku nawet wtedy, gdy byłem już asystentem na Uniwersytecie Łódzkim.

Pan Janusz mieszkał na „Lumumbowie" w latach 1960-1967. Pamięta czasy, gdy na osiedlu stało zaledwie kilka domów studenckich.

– W „Balbinie" mieszkały dziewczyny – wspomina. – W akademiku bez nazwy mieszkali chłopcy. Był też dom studencki dla studentów Akademii Medycznej.

Studenci musieli samodzielnie szukać zakwaterowania. Szczęśliwcom udawało się znaleźć miejsce w tzw. tymczasowych domach studenckich, rozrzuconych po całym mieście. Jak wspominał w książce „Mój uniwersytet" Stanisław Bąkowicz, jeden z takich domów mieścił się na dwóch piętrach kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 105. Studenci mieszkali również przy al. Kościuszki, ul. Zamenhofa 13, Jaracza 34, Ciesielskiej 6, Ogrodowej 28 czy Karolewskiej. Część z nich zamieszkiwała także wille w Arturówku.

Cztery łóżka i brydż

Janusz Szczepaniak wspomina, że gdy w 1960 roku rozpoczął studia na Wydziale Matematyki Uniwersytetu Łódzkiego, bez problemu otrzymał miejsce w akademiku. Do Łodzi przyjechał z niewielkiej miejscowości pod Opocznem.

– Kiedy się wprowadziłem, w pokojach nie było już piętrowych łóżek – opowiada. – Mieszkałem z trzema kolegami. To były czasy, gdy akademiki nie były koedukacyjne. Chłopcy i dziewczęta mieszkali w oddzielnych budynkach.

Pokój był urządzony bardzo skromnie. Stały w nim cztery żelazne łóżka, szafka i kilka krzeseł. Studentom to jednak w zupełności wystarczało.

– Co miesiąc wymieniano nam pościel, a co dwa tygodnie przychodziła sprzątaczka – wspomina matematyk. – To była ogromna pomoc. Kiedy w pokoju mieszka czterech chłopaków, nikt specjalnie nie pali się do sprzątania. Mieliśmy nawet parkiet. Sprzątaczka pięknie go pastowała, myła łazienki, a potem przez kolejne dwa tygodnie robiliśmy bałagan od nowa.

Studenci stołowali się w mieście. Humanistów obsługiwała stołówka przy ówczesnej ul. Buczka, czyli dzisiejszej ul. Kamińskiego. Studenci kierunków ścisłych jadali przy ul. Piotrkowskiej.

– W „gęsiówce", bo tak nazywaliśmy ten bar, jedliśmy śniadania, obiady i kolacje – wspomina.

W czasach pana Janusza nie było wolnych sobót. Życie towarzyskie rozkręcało się więc dopiero w sobotnie wieczory. Organizowano wtedy zabawy taneczne z orkiestrą. Ci, którzy nie mieli ochoty tańczyć, spędzali czas w pokojach.

– Grało się w karty, głównie w brydża – mówi. – Do tego było piwo. Na mocniejsze alkohole zwykle brakowało pieniędzy, choć czasem zdarzało się wypić coś więcej. Większych burd nie było. Jeśli dochodziło do jakichś ekscesów, sprawą zajmował się sąd koleżeński. Można było stracić miejsce w akademiku, a nawet mieć problemy na uczelni. A miejsce w domu studenckim było na wagę złota. Wielu studentów pochodziło z biednych rodzin i każdy starał się go nie stracić.

Jak przechytrzyć portiera

Ryszard Czubaczyński, wieloletni dyrektor Muzeum Miasta Łodzi, były szef łódzkiej Estrady i pracownik Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, zamieszkał na „Lumumbowie" w latach 50. W 1955 roku przyjechał ze Skierniewic na egzaminy wstępne na filologię polską Uniwersytetu Łódzkiego.

Podróż rozpoczęła się pechowo. Kiedy wysiadał z pociągu, jedna z pasażerek zahaczyła siatką o jego jedyne spodnie od garnituru, rozdzierając je.

Podczas egzaminu siedział więc wyjątkowo sztywno, starając się ukryć uszkodzenie. W końcu jeden z profesorów zapytał go o powód dziwnego zachowania. Kandydat bez skrępowania opowiedział całą historię, wywołując salwy śmiechu.

– To były czasy, gdy człowiek miał jedną parę spodni i jeden garnitur – uśmiecha się dziś Ryszard Czubaczyński. – Łódź zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Ludzie mieli już telewizory. Co prawda były to „Wisły" z ekranami wielkości dłoni, ale jednak telewizory.

Cieszył się, że otrzymał miejsce w akademiku. Do dziś czasem odwiedza osiedle.

– Otoczenie bardzo się zmieniło, ale wejście do akademika jest właściwie takie samo. Układ portierni też pozostał niemal identyczny.

Wspomnienia wracają natychmiast.

– Największym sukcesem było przechytrzenie portiera. Prześlizgnięcie się po godzinach albo przemycenie do akademika kolegi czy dziewczyny.

I dodaje ze śmiechem:

– Kto oszukał portiera, ten był kimś.

Ryszard Czubaczyński wspomina, że w czasach studenckich uchodził za osiedlowego barda. Wieczorami chodził z kolegami pod okna akademików i śpiewał serenady.

– Zawsze chciałem robić to, czego specjalnie nie umiałem, czyli śpiewać – śmieje się. – Ale dziewczyny otwierały okna i wyglądały na zewnątrz. A o to przecież chodziło.

Przez lata osiedle akademickie bardzo się zmieniło. Akademiki wyremontowano, a obok nich powstały stadion i hala Akademickiego Związku Sportowego.

– Kiedyś była tam niewielka łąka, po której się biegało – wspomina. – Droga na Radiostację prowadziła przez prawdziwe pustkowie. Na uniwersytet często chodziliśmy pieszo przez pola. Polonistyka mieściła się wtedy przy ul. Lindleya.

Jednym z mieszkańców „Lumumbowa" był również Marek Jackowski – lider i założyciel zespołu Maanam. Mieszkał tu w latach 1964-1969, studiując anglistykę na Uniwersytecie Łódzkim.

– W każdym akademiku i klubie studenckim w soboty oraz niedziele odbywały się potańcówki, na których grały rozmaite zespoły – wspominał po latach muzyk. – Nowo przybyłych studentów straszono, że osiedlem rządzi „banda Koko" z Bystrzyckiej, bo tak kiedyś nazywała się ul. Lumumby. „Koko" był barwną postacią, ale nie pamiętam, żeby ktokolwiek z jego ludzi zrobił studentom krzywdę. Relacje były raczej koleżeńskie.

Jackowski wspominał również pierwsze wyprawy studentów do miasta.

– Kiedy wybraliśmy się na pierwsze winko i natknęliśmy się na „bandę Niedźwieckiego", kierowaną przez syna znanego boksera, spodziewaliśmy się kłopotów. Tymczasem nie tylko nie dostaliśmy łomotu, ale zostaliśmy potraktowani życzliwie. Chuligani darzyli studentów sporą sympatią, a na koniec nawet odprowadzili nas do tramwaju.

eprasa.pl 3a1d233d4e

Nagrody Nobla. Stały punkt odniesienia w naszym coraz bardziej rozchwianym świecie – Str. 24

PULS *regionów*

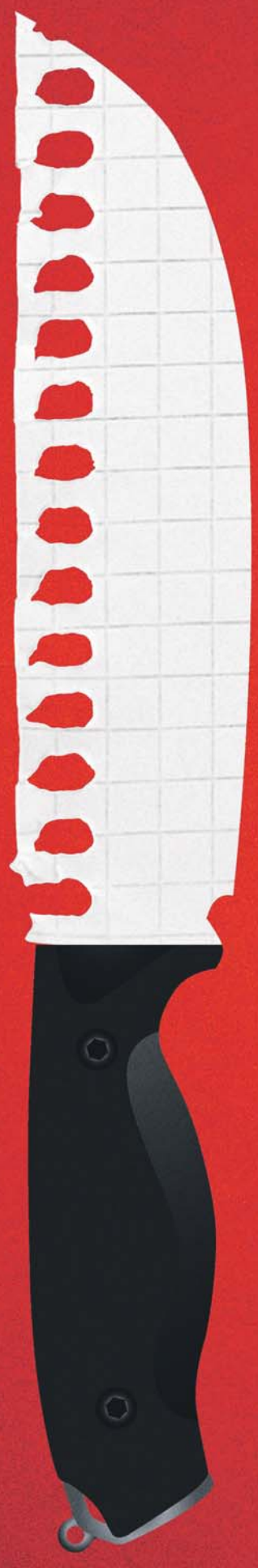

Uczeń z nożem.
Seria ataków w szkołach – Str. 20

BT

eprasa.pl 3a1d233d4e

WOJSKOWOŚĆ

Koniec „wuzety”. Wojsko Polskie wprowadza nowy mundur K03 „Ryś”

Po blisko trzech dekadach użytkowania charakterystycznej „wuzety” Wojsko Polskie wprowadza nowy wzór maskujący. Kamuflaż K03 „Ryś” ma zapewnić lepsze właściwości maskujące zarówno w dzień, jak i w nocy, poprawić komfort użytkowania oraz zwiększyć bezpieczeństwo żołnierzy. Nowe umundurowanie zostało opracowane w Polsce, przetestowane przez polskich wojskowych i ma być produkowane wyłącznie przez krajowy przemysł

Piotr Celej

Wprowadzenie nowego wzoru maskującego to jedna z największych zmian w wyposażeniu indywidualnym żołnierza od lat. Dotychczasowa „leśna pantera” służy w Wojsku Polskim od połowy lat 90. W tym czasie zmienił się jednak zarówno charakter współczesnego pola walki, jak i technologie wykorzystywane do wykrywania przeciwnika.

FOT. MAT.PRAS. MON

Podczas prac nad nowym mundurem wykorzystano doświadczenia żołnierzy różnych rodzajów sił zbrojnych

Nowe szaty polskiego żołnierza

To olbrzymia zmiana – wzór kamuflażu to dla żołnierzy coś jak barwy klubu dla kibiców. Są z nim zżyci w wyjątkowy sposób. Nic więc dziwnego, że każda zmiana wzoru mundurów to w wojsku prawdziwy „big news”. „Dropnęły nowe skórki” – pisał w social mediach jeden z miłośników militariów. „Koniec epoki »wuzety«” – wtórował mu inny. I słusznie, bo nowy kamuflaż K03 „Ryś” to rewolucja w polskiej armii. O zmianie zdecydowały doświadczenia żołnierzy, rozwój technologii oraz wyniki wieloletnich badań prowadzonych przez Wojskowy Ośrodek Badawczo-Wdrożeniowy Służby Mundurowej w Łodzi.

– Po 30 latach nadszedł czas, by zmienić wzór maskujący: taki, który nie tylko zakamufluje żołnierza, ale pozwoli mu pozostać jak najdłużej niewidzialnym dla przeciwnika – mówił Paweł Mateńczuk podczas prezentacji mundurów.

K03 „Ryś”. Pięć kolorów i rozbicie sylwetki

Twórcy nowego kamuflażu postawili na rozwiązanie określane jako wielośrodowiskowe. K03 wykorzystuje pięć kolorów, nieregularne plamy o zróżnicowanej wielkości oraz płynne przejścia między poszczególnymi barwami. Celem nie jest wyłącznie dopasowanie do konkretnego koloru otoczenia, lecz przede wszystkim rozbicie charakterystycznych konturów ludzkiej sylwetki. To duża zmiana filozofii maskowania. W nowoczesnych kamuflażach coraz większe znaczenie ma nie tyle imitowanie koloru terenu, ile utrudnienie przeciwnikowi rozpoznania człowieka jako celu. Dotyczy to zarówno obserwacji prowadzonej gołym okiem, jak i z wykorzystaniem zaawansowanych urządzeń optycznych.

– Kamuflaż K03 został zaprojektowany tak, aby ograniczać czytelność sylwetki żołnierza i dostosowywać się do różnych typów terenu: od lasów po obszary zabudowane – wyjaśniał podczas prezentacji płk Maciej Żytelewski.

Badania prowadzone były w różnych warunkach terenowych oraz przy zastosowaniu różnych metod obserwacji. Uzyskane wyniki miały potwierdzić wysoką skuteczność nowego wzoru.

– To jest niezwykły dzień dla Wojska Polskiego. Człowiek jest najważniejszy, żołnierz Wojska Polskiego jest najważniejszy. Jego bezpieczeństwo, przygotowanie, jego komfort służby jest dla nas najważniejszy. Dlatego po kilkunastu miesiącach prac ogłaszamy zmianę rewolucyjną dla żołnierzy Wojska Polskiego – mówił szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. – Dlaczego taka decyzja? Bo bezpieczeństwo żołnierza i jego komfort służby są najważniejsze. Widzieliśmy informację o tym, że ten mundur i jego kamuflaż sprawia, że jest dużo mniej widoczny zarówno w dzień, jak i w nocy, i noktowizja tutaj jasno i wyraźnie pokazuje, że w przedziale mundurów porównywanych jest to najlepsze rozwiązanie z możliwych – dodał minister.

Widoczność gołym okiem, ale też noktowizja

Jednym z najistotniejszych wymagań stawianych nowemu mundurowi była skuteczność podczas obserwacji nocnej. Współczesne pole walki jest bowiem nasycone noktowizją, termowizją i sensorami optoelektronicznymi. Podczas testów K03 „Ryś” wykazał bardzo dobre właściwości maskujące podczas obserwacji przez urządzenia noktowizyjne. To szczególnie istotne dla żołnierzy wojsk operacyjnych, wojsk specjalnych czy wojsk obrony terytorialnej, które mogą działać w warunkach ograniczonej widoczności.

– To jest najlepszy moment, w którym mogliśmy zdecydować się na wdrożenie nowego kamuflażu, wielośrodowiskowego kamuflażu nowej generacji. Oznacza to jakościowy skok w zakresie bezpieczeństwa żołnierzy – ocenił szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Wiesław Kukuła.

Większy komfort, lepsza odporność

Zmiany nie ograniczają się wyłącznie do samego wzoru maskującego. Równie istotny jest nowy materiał, z którego szyte będą mundury. Przepuszczalność powietrza ma być nawet dwukrotnie wyższa niż w obecnie używanych mundurach polowych. Oznacza to lepsze odprowadzanie ciepła oraz wilgoci podczas marszów, ćwiczeń i działań bojowych prowadzonych w wysokich temperaturach.

Projektanci zadbali również o większą odporność tkaniny na promieniowanie słoneczne oraz możliwość prania munduru w temperaturze do 60 stopni Celsjusza. To rozwiązania, które mają bezpośrednio przełożyć się na trwałość wyposażenia i łatwość jego eksploatacji w warunkach wojskowych. Ponadto mundur ma specjalne mocowania, które mogą służyć za... temblak na kontuzjowaną rękę. Nowe umundurowanie zaprojektowano również z myślą o współpracy z nowoczesnym wyposażeniem żołnierza. Krój uwzględnia stosowanie kamizelek balistycznych nowej generacji, pasów bojowych, oporządzenia modułowego oraz systemów przenoszenia wyposażenia.

Istotnym elementem programu była współpraca z użytkownikami końcowymi. Wojsko podkreśla, że podczas prac wykorzystano doświadczenia żołnierzy różnych rodzajów sił zbrojnych, w tym operatorów Wojsk Specjalnych. Za badania i rozwój odpowiadał Wojskowy Ośrodek Badawczo-Wdrożeniowy Służby Mundurowej w Łodzi, specjalizujący się w opracowywaniu wyposażenia osobistego oraz badaniach materiałów włókienniczych.

Produkcja w całości w Polsce

Podczas prezentacji minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz podkreślił, że nowy mundur jest polskim projektem i będzie produkowany przez krajowy przemysł. – Został zaprojektowany w Polsce, sprawdzony przez polskich żołnierzy i będzie w 100 procentach produkowany w Polsce – zaznaczył szef MON.

Według ministra koszt pojedynczego kompletu nowego umundurowania wynosi około 1000 złotych. Jednocześnie resort obrony planuje przeznaczyć w przyszłym roku nie mniej niż miliard złotych na wyposażenie żołnierzy w nowe mundury.

Sama prezentacja wzoru K03 nie oznacza natychmiastowego wycofania wszystkich mundurów wz. 93. Skala przedsięwzięcia jest ogromna. Wojsko musi zabezpieczyć produkcję, magazynowanie i dystrybucję nowych kompletów dla setek tysięcy żołnierzy zawodowych, ochotników i rezerwistów.

Proces wymiany będzie rozłożony na lata. W pierwszej kolejności nowe umundurowanie trafi prawdopodobnie do jednostek liniowych i żołnierzy pełniących służbę zawodową, a dopiero później do pozostałych formacji i zasobów mobilizacyjnych.

eprasa.pl 3a1d233d4e

STOPKLATKA

FOT. PAP/EPA/MOHAMMED BADRA

↑ We Francji od kilkunastu dni trwają protesty o skali brutalności niewidzianej w tym kraju od lat. Demonstrują licealiści. Oficjalnie - przeciwko braku inwestycji w szkoły ze strony państwa. W praktyce te protesty nabrały barw politycznych i są już traktowane jako pierwszy akord kampanii przed zaplanowanymi na przyszły rok wyborami prezydenckimi

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

↑ 3500 kg - tyle ważyły niewybuchy z czasów II wojny światowej, które znaleziono w okolicach portu zewnętrznego w Świnoujściu. Odkryto je przy okazji prac przygotowawczych do budowy nowego falochronu w tym porcie. Niewybuchy zostały zneutralizowane przez nurków-minerów z 8. Flotylli Obrony Wybrzeża

FOT. PAP/POLICJA MAZOWSZE

→ Seria dramatycznych scen w polskich szkołach. Najpierw w Ostrołęce 19-letni uczeń (widoczny na zdjęciu po zatrzymaniu przez policję) nożem zaatakował dziewięć osób: uczniów i pracowników. Dzień później w jednej ze szkół pod Wyszkowem doszło do podobnego incydentu - jedna pracownica szkoły zmarła po ataku, dwie osoby zostały ranne

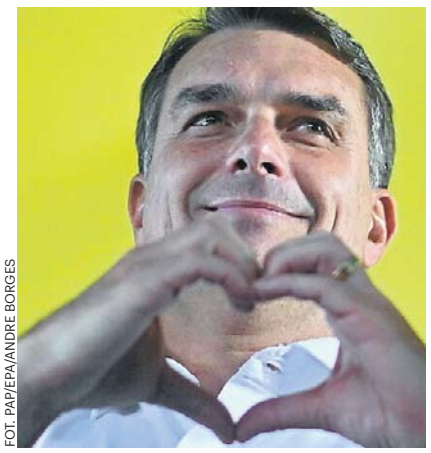

FOT. PAP/EPA/ANDRE BORGES

← 45-letni Flavio Bolsonaro stał się nieoczekiwanie faworytem do zwycięstwa w wyborach prezydenckich w Brazylii. W pierwszej turze syn byłego prezydenta pokonał obecnie urzędującą głowę państwa Lulę da Silvę. Druga tura 25 października

eprasa.pl 3a1d233d4e

NOŻOWNICY W SZKOŁACH

Uczeń z nożem w ręku. Seria ataków w polskich szkołach

Dwa dni: dwa ataki nożowników w szkole, uczniów jeszcze. Nastolatkowie ruszyli na swoich kolegów, nauczycieli, pracowników placówek. Do tego jedno zatrzymanie prewencyjne ucznia, który „planował zrobić coś złego". Ponad dziesięć osób w wyniku tych ataków zostało rannych, jedna z ofiar nie żyje

Dorota Kowalska

Politycy nie mają wątpliwości: trzeba reagować natychmiast. Premier Donald Tusk wezwał w czwartek w trybie pilnym ministrów: Spraw Wewnętrznych i Administracji, Cyfryzacji, Edukacji Narodowej i Zdrowia, a także koordynatora służb specjalnych oraz komendanta głównego Policji.

Pilne spotkanie u premiera

– To bardzo smutne i tragiczne, że muszę zacząć to dzisiejsze spotkanie od wyrazów współczucia, kondolencji, wsparcia dla rodziny zmarłej przed chwilą pracownicy szkoły pod Wyszkowem, która zginęła od zadanych ciosów nożem. Jej życia, mimo starań, nie udało się uratować – powiedział przed spotkaniem premier. Wiadomo, że kobieta zostawiła dójkę dzieci. Jej rodzina ma zostać objęta opieką.

– Zadaniem dla rządu, dla mnie osobiście i dla pań i panów ministrów jest zrobienie wszystkiego, co w mocy państwa, wszystkiego, bez wyjątku, aby zatrzymać albo ograniczyć przynajmniej ryzyka wynikające z fali przemocy, jaka ma dzisiaj miejsce – mówił Tusk. – Do tej pory Polska była państwem bardzo bezpiecznym. Jeśli chodzi o tego typu zdarzenia, akty terroru w szkołach z wielkim smutkiem obserwowaliśmy dramaty za oceanem, w wielu innych państwach europejskich. Polski do tej pory to nie dotyczyło, ale ten trend jest dramatycznie niepokojący w całej Europie i nie miejmy złudzeń: bez zdecydowanych działań te dramatyczne, ryzykowne sytuacje mogą się powtórzyć – dodał.

Szef rządu nie ukrywał, że ma obawy przed „ponurym fenomenem naśladownictwa", bo w internecie przemoc jest mocno promowana. – Ten kult przemocy stał się wszechobecny w świecie i niestety dotarł także do Polski. Więc zdajemy sobie sprawę, że te źródła są tutaj wielorakie. To może być kryzys psychiczny potencjalnego agresora, ale często związany jest z zachowaniami grupowymi – mówił Donald Tusk. Podkreślił, że takie niebezpieczne sytuacje należy monitorować.

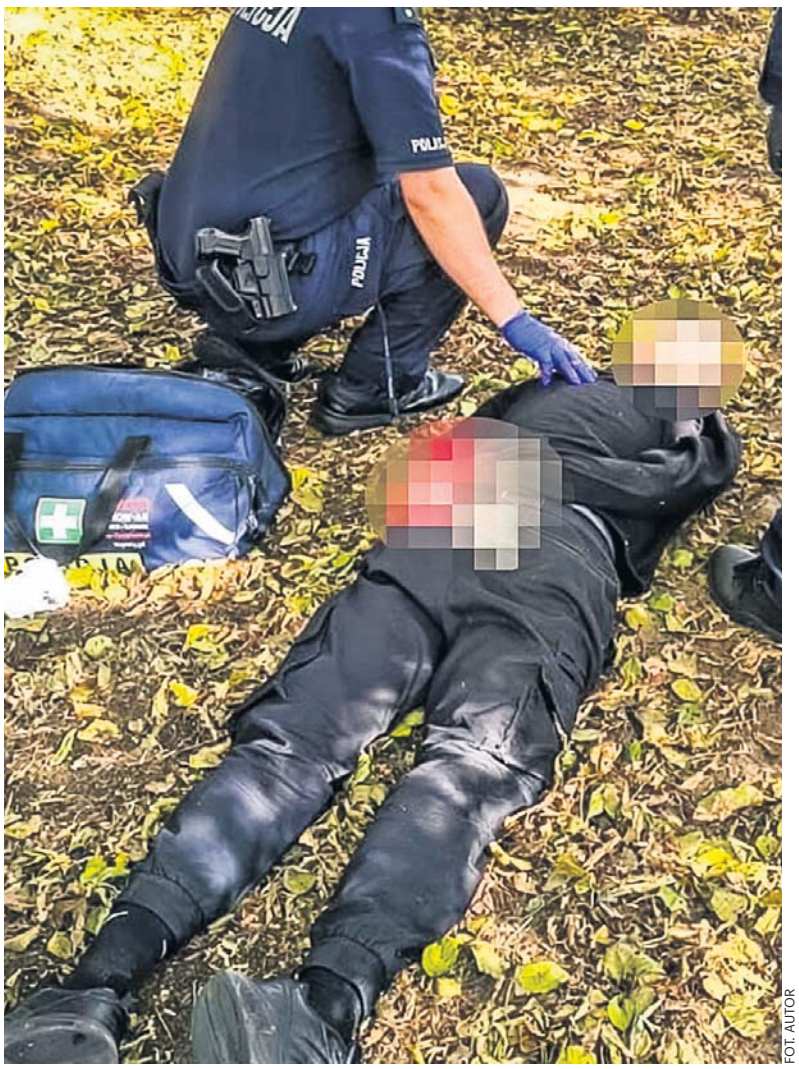

FOT. AUTOR

Nastolatek, który zaatakował w Ostrołęce, został bardzo szybko ujęty

Zdradził, że 15-letni zabójca z Leszczydołu-Nowin miał na sobie kask z kamerką.

– Jego intencją było filmowanie tej akcji z nożem – mówił.

W związku z ostatnimi wydarzeniami Komenda Główna Policji zdecydowała o zwiększeniu obecności funkcjonariuszy w pobliżu placówek oświatowych. Policjanci mają też przynajmniej raz dziennie pojawiać się w szkołach. W każdej szkole, jak podkreślił premier, mają być dostępne informacje o telefonach, zarówno 112, jak i 116 111 - to telefon do psychologa. Tusk przypomniał, że rząd ma związane ręce w sprawie blokowania treści w sieci.

– Mieliśmy ambitną ustawę, projekt ustawy przeszedł przez Sejm, przez Senat i to była twarda ustawa, jedna z najmocniejszych tego typu propozycji zmiany prawa w Europie, która miała chronić ludzi, w tym przede wszystkim dzieci i młodzież, przed agresją, rozmaitymi formami przemocy czy prób wykorzystania w internecie. Ona została zawetowana. W związku z tym my dzisiaj nie możemy zablokować treści, tylko musimy się zwracać do sądu albo z uprzejmą prośbą do właściciela platformy czy dysponenta danych – mówił. – Obawiam się, że w Senacie będziemy musieli przywrócić te zapisy. I mam nadzieję, że nikomu już nie przyjdzie do głowy, żeby powiedzieć, że tak zwana wolność do przemocy, przekleństwa, pogardy, wymuszania, wykorzystywania młodocianych to nie jest obszar, gdzie możemy mówić o wolności słowa. Tam państwo musi wkroczyć zdecydowanie i do tego musimy mieć te narzędzia – dodał Tusk.

Zwrócił się też do ministra Siemoniaka, Kierwińskiego i Gawkowskiego o „radykalny wzrost działań wyspecjalizowanych jednostek, które monitorują sytuację w internecie.

- Do tej pory mieliśmy poczucie, że przygotowujemy się do zdarzeń w przyszłości: cyberprzestępczość, ale też zagrożenie spowodowane przez agresywne zachowania państw zewnętrznych. To wszystko jest nadal naszym priorytetem, ale proszę, abyśmy zarówno jeśli chodzi o Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, oczywiście policję, NASK i narzędzia, które są w dyspozycji, jak najszybciej doprowadzili do zintegrowanego, intensywnego działania w sieci. To jest monitorowanie, zapobieganie, interwencja – zaapelował szef rządu.

Walka o bezpieczeństwo w szkołach

Wcześniej Barbara Nowacka, przekazała, że wspólnie z szefem tego resortu Marcinem Kierwińskim widzą potrzebę wzmacniania prowadzonych już działań zmierzających do poprawy bezpieczeństwa.

– Dlatego powstaje program analogiczny do programu, jaki mamy wspólnie z MON-em, czyli do „Edukacji z wojskiem" we współpracy z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji – powiedziała.

Dodała, że już w tym roku w każdej szkole odbędzie się przynajmniej jedno spotkanie dedykowane procedurom bezpieczeństwa w sytuacjach kryzysowych. W spotkaniach tych weźmie udział społeczność szkolna i przedstawiciele służb wydelegowanych przez MSWiA.

Nowacka zapowiedziała, że Ministerstwo Edukacji Narodowej w ramach reformy Kompas Jutra wprowadziło zmianę.

– Od 1 września tego roku jedna godzina wychowawcza w miesiącu musi być poświęcona na działania albo patriotyczne, albo obronnościowe, ale tak naprawdę patriotyzm i odpowiedzialność za Polskę, umiejętność działań proobronnych i ochrony ludności cywilnej są koniecznością – mówiła.

Do szkół rozesłany zostanie także poradnik bezpieczeństwa dla dzieci i młodzieży.

– Poradnik wskazuje różne zagrożenia i jak młodzi ludzie mają sobie z nimi radzić – wyjaśniła wiceministra edukacji Paulina Piechna-Więckiewicz.

Piechna-Więckiewicz zapowiedziała, że w przygotowaniu jest również poradnik przeciwdziałania przemocy rówieśniczej skierowany do młodzieży. Resort edukacji zaprosił do jego współtworzenia młodych ludzi oraz ekspertów.

Wiceszefowa MEN przekazała, że we wrześniu Komitet Monitorujący FERS zatwierdził program szkoleń skierowanych do dyrektorów szkół i przedszkoli z procedur i budowania zespołów kryzysowych.

– Przeszkolimy 7,5 tys. dyrektorów szkół i przedszkoli, mamy na to ponad 45 mln zł. Codziennie w polskich szkołach pracują policjanci, strażacy, przedstawiciele służb i instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Wspólnie działamy na rzecz bezpiecznej szkoły – podkreśliła.

W to działanie muszą się włączyć także rodzice. Rozmawiać ze swoimi dziećmi, obserwować je, reagować w razie potrzeby. To w domu, nie w szkole, uczniowie spędzają większość swojego dnia.

Dwa ataki w dwa dni, trzeci udaremniony

Ta wiadomość zszokowała opinię publiczną, ale też takie historie zdarzają się raczej w amerykańskich, nie polskich szkołach. W środę w Zespole Szkół Zawodowych nr 4 w Ostrołęce 19-latek, uczeń tej placówki, zaatakował nożem dziewięć osób - pięcioro uczniów, dwoje nauczycieli i dwie osoby postronne.

Było około godz. 11.00, w szkole zrobiło się tłoczno. Jakub Z. wykorzystał sytuację, wyjął nóż. Wszędzie słychać było krzyki. Totalny chaos. Gdy nauczyciele spostrzegli, co się dzieje, zaczęli zamykać się z uczniami w klasach. - To się działo po sąsiedzku, w sąsiedniej klasie. Chłopak zakrwawiony wybiegł z dołu, biegł do góry. Jak wbiegł do klasy, to pani zamknęła drzwi na klucz. Potem było jakieś szarpnięcie, jakby ktoś chciał wejść do środka. Ktoś szarpał za drzwi – opowiada mediom uczennica ostrołęckiej szkoły.

eprasa.pl 3a1d233d4e

FOT. ADAM JANKOWSKI

Premier Donald Tusk zwołał po południu naradę z ministrami oraz policją

Być może zdecydowana postawa nauczycieli uratowała życie im i uczniom. Napastnik wybiegł ze szkoły, nie miał jak dopaść kolejnych ofiar.

Policja zatrzymała go jakieś 500 metrów od szkoły, w rejonie plaży miejskiej. Chłopak przed zatrzymaniem dokonał samookaleczenia, trafił do szpital. Żyje.

Jakub Z. zaplanował ten atak

Jakub Z. uchodził za skrytego, trochę wycofanego. - Nie było o nim głośno. Nie rzucał się w oczy, był bardzo cichy – opowiadała mediom 16-latka, uczennica szkoły w Ostrołęce.

Dlaczego zaatakował kolegów i uczniów?

- Z tego, co nam wiadomo, to z jego ust padły słowa, że chce, aby w jego urodziny było o nim głośno – tak odpowiedziała. Jakub Z. miał w środę urodziny, skończył 19-lat.

- Mimo że nie było mnie tutaj na miejscu, to bardzo mocno mną to wstrząsnęło. Do tej pory czuję adrenalinę. Nie wyobrażam sobie, jak muszą się czuć nauczyciele, wszyscy pracownicy szkoły i uczniowie - mówiła 16-latka i dodała, że rozmawiała z kilkoma uczniami, którzy byli na miejscu, są przejęci.

- Czują traumę i strach przed przyjściem z powrotem do szkoły – tłumaczyła.

Ranni, ofiary Jakuba Z., trafili do szpitali w Łomży i Ostrołęce. Ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. W mieście zwołano sztab kryzysowy. Uczniom i nauczycielom szkoły zapewniono wsparcie psychologiczne, a placówkę tymczasowo zamknięto.

Dzisiaj wiemy już, że 19-latek był pod stałą opieką specjalistów, w tym psychologa i pedagoga, że interesowały się nim również służby społeczne. Jakub Z. był w przeszłości notowany za posiadanie narkotyków, jednak tamta sprawa została umorzona.

Prokuratura Rejonowa w Ostrołęce poinformowała o wszczęciu śledztwa w sprawie usiłowania zabójstwa. Chłopak dokładnie wszystko zaplanował, to nie był przypadkowy atak kierowany emocjami.

- Mamy już pewność, że sprawca tego zdarzenia wszedł z niebezpiecznym narzędziem w postaci noża na teren szkoły i powiem więcej, w plecaku, który także wniósł na teren szkoły, znajdował się ładunek wybuchowy domowej konstrukcji, który prawie został zdetonowany - mówił na antenie TVN24 prokurator krajowy Dariusz Korneluk

Dodał, że z informacji, którą otrzymał od prokuratora okręgowego w Ostrołęce, wynika, że z wniesionego przez ucznia plecaka w pewnym momencie zaczął wydobywać się dym.

- Plecak był już w sali komputerowej, (...) i tylko i wyłącznie przez właściwe zachowanie pani nauczycielki i uczniów został wyrzucony przez okno i być może to (...) uniemożliwiło jego detonację - powiedział prok. Korneluk.

Opinia publiczna poczuła się trochę jak w innej rzeczywistości. Takie newsy nigdy wcześniej do niej nie docierały. Nożownicy atakowali w szkołach we Francji, w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii, nie w naszym kraju.

- Takiego zdarzenia w Polsce nie było – przyznała ministra edukacji Barbara Nowacka w TVN24. Mówiła też o „bardzo dobrej, spokojnej i błyskawicznej" reakcji dyrektora, społeczności szkolnej oraz służb.

- Udało się uniknąć tragedii, udało się uniknąć katastrofy - oceniła ministra.

Wczoraj, o godz. 9.00 w Ostrołęce po raz kolejny zebrał się sztab kryzysowy, w szkołach zostały odwołane lekcje. W każdej dyżuruje psycholog, do którego można się zgłosić.

Po mieście krążą jednak pogłoski, że planowane są podobne ataki w innych szkołach. Mieszkańcy boją się wychodzić z domów. Policja apeluje o zachowanie spokoju, nie potwierdza tych plotek.

„Opierajmy się wyłącznie na sprawdzonych i potwierdzonych komunikatach przekazywanych przez służby. Rozpowszechnianie i powielanie niesprawdzonych informacji może powodować niepotrzebny chaos i dezinformację, a także budować napięcie i niepokój wśród mieszkańców. Cały czas pracujemy pod nadzorem prokuratury nad wyjaśnieniem wszystkich okoliczności tego zdarzenia. Prosimy o odpowiedzialność i powstrzymanie się od przekazywania informacji, które nie zostały potwierdzone przez służby" - zaapelowała za pośrednictwem mediów społecznościowych policja z Ostrołęki.

Kolejne ataki uczniów

To nie koniec złych wiadomości. W dniu ataku nożownika w Ostrołęce, policjanci z Sierpca zatrzymali 17-latka. Do Komendy Powiatowej Policji w tym mieście zgłosił się jeden z nauczycieli, przekazał policjantom niepokojące informacje otrzymane od uczniów.

„Z jego relacji wynikało, że uczeń szkoły wśród rówieśników przekazywał, że planuje w środę 7 października „zrobić coś złego w szkole"" - czytamy w komunikacie policji.

Śledczy z Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Sierpcu w środę rano weszli do mieszkania nastolatka, zatrzymali go.

Podczas przeszukania w domu chłopaka zabezpieczono należącą do niego saszetkę, w której znajdowały się dwa noże.

„Śledczy zabezpieczyli również jego telefon komórkowy, w którym natrafiono na wyszukiwanie informacji dotyczących planowanego ataku" - podała mazowiecka policja.

- Na zabezpieczonych nośnikach elektronicznych znaleziono wszystkie informacje, czego szukał w internecie ten młody człowiek. Szukał informacji, jak właśnie zorganizować tego typu krwawe wydarzenie – mówił na specjalnie zwołanej po ataku w Ostrołęce konferencji prasowej Maciej Kierwiński, szef MSWiA. Towarzyszyła mu Barbara Nowacka, minister edukacji.

Konferencja jeszcze się nie skończyła, kiedy przyszedł następny wstrząs.

„Kolejny atak w szkole z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Tym razem 15-latek zaatakował w szkole podstawowej w miejscowości Leszczydół-Nowiny pod Wyszkowem" – informowały media.

Co wiadomo w tej chwili? Nastolatek wszedł na teren szkoły w trakcie trwania lekcji. Na korytarzu ostrym narzędziem zaatakował jedną z pracownic placówki. Ranna została również nauczycielka. Hałas usłyszał dyrektor szkoły, który wyszedł ze swojego gabinetu i podjął interwencję. To on obezwładnił napastnika i przekazał wezwanym policjantom, którzy błyskawicznie pojawili się na miejscu zdarzenia. Zaatakowana pracownica placówki zmarła, kobieta miała 37 lat, ranni są nauczycielka i dyrektor szkoły.

Zaatakowany dyrektor, Krzysztof Ochmański przekazał w rozmowie z Polskim Radiem RDC, że 15-latek miał przy sobie trzy noże.

- Wbiegł i ranił woźną. Krzyk usłyszałem, ale jak wybiegłem na korytarz, to niestety nie widziałem, co się stało, bo korytarz był pusty - relacjonował Krzysztof Ochmański. - On dotykał klamki drzwi i zwrócił się w moją stronę z rękami do góry. Zranił mnie tylko ostrzem noża, takiego dłuższego, bo on miał trzy noże, i uderzył mnie trzonkiem. W tym czasie już jakoś tam go opanowałem – opowiadał dalej.

Jak dodał, napastnik wyrwał się mu i dopiero wtedy dyrektor zdał sobie sprawę, że w rękach trzyma prawdziwy nóż.

Motywy działania 15-latka nie są znane. To absolwent placówki, obecnie uczeń szkoły średniej. Policja nie ma informacji, czy napastnik coś krzyczał w trakcie ataku ani czy podawał jakieś powody swego działania.

Rzecznik Prokuratury Okręgowej w Ostrołęce prok. Elżbieta Edyta Łukasiewicz przekazała w rozmowie z Polską Agencją Prasową, że sprawą 15-latka zajmie się wydział rodzinny i nieletnich Sądu Rejonowego w Wyszkowie. Jak zaznaczyła, śledczy na miejscu na bieżąco zabezpieczają ślady i dowody. Materiały zostaną przekazane do sądu. Łukasiewicz wyjaśniła jednocześnie, że osoba, która skończyła 15 lat, może odpowiadać za swoje czyny jak dorosły. Decyzję w tej sprawie podejmie jednak sąd. PAP

eprasa.pl 3a1d233d4e

ROZMOWA

Media społecznościowe – dziki świat? Już w szkołach powinniśmy uczyć uczniów odpowiedzialności za słowo

- Bo słowo w sieci może ranić. Może powodować, że krzywdzimy tych, którzy są wokół nas. Może zniszczyć czyjąś karierę zawodową, naukową, pozycję społeczną - rozmowa z profesorem Dariuszem Tworzydło – profesorem nauk społecznych, specjalizującym się w komunikacji kryzysowej oraz twórcą Kongresu Profesjonalistów PR, który od 26 lat odbywa się w Rzeszowie.

Marlena Bogdan - Marut

Porozmawiamy dzisiaj o anatomii katastrofy – tak sobie to wymyśliłam. O czymś, co często wydarza się w mediach społecznościowych, które bardzo wpływają na nasze życie. I o tej anatomii porozmawiamy na konkretnym przykładzie. Chociaż, znając dynamikę mediów, nie wiem, czy ktoś jeszcze będzie pamiętał przykład Joanny Jabłczyńskiej i Katarzyny Grocholi i reszty świata, która się włączyła. Przypomnijmy trochę tę katastrofę. Joanna Jabłczyńska ogłosiła w swoich mediach społecznościowych, że nie zagra Tosi w kontynuacji książki i filmu „Nigdy w życiu!", którego autorką jest Katarzyna Grochola. Katarzyna Grochola odpowiedziała, potem zaczęła się walka między obiema paniami: która ma rację, która i czego nie powinna pisać. Włączyła się do tego Dorota Szelągowska, córka Katarzyny Grocholi, w bardzo emocjonalnym wideo, które wrzuciła do sieci. Co tam się wydarzyło z punktu widzenia komunikacji?

- Z punktu widzenia komunikacji, faktycznie można mówić o katastrofie, dla wszystkich stron. Największym problemem w takich sytuacjach jest to, że odbiorcy komunikatów skupiają się na ich fragmentach. Na krótkich tekstach, oświadczeniach, obrazach, informacjach, które do nich płyną. I na tej podstawie wyrabiają sobie zdanie. Nie tylko na temat danej sprawy, ale także na temat człowieka. Dlatego tak, to była katastrofa.

Ludzie bardzo szybko zaczęli stawać po jednej ze stron, czytając tylko fragmenty, nie znając całej historii. I to jest to, co dobrze znamy z mediów społecznościowych: nie wiemy, ale się wypowiemy. I chyba tak działają media społecznościowe – grają mocno na emocjach, przede wszystkim na tych negatywnych. Emocje to jest paliwo katastrofy.

- Niestety tak. Negatywne emocje dominują w mediach społecznościowych i bardzo łatwo o kryzys osobisty albo kryzys marki, który jest efektem tego, co powiemy, jak powiemy, do czego i w jaki sposób się odniesiemy. Wielu osobom, które chcą wyrazić swoją opinię w przestrzeni medialnej, wcale nie zależy na tym, żeby poznać fakty, poznać prawdę.

Po pierwszym fragmencie, wypowiedzi, zdaniu są w stanie postawić się po jednej z dwóch stron i chcą być ekspertami. Stąd, jeżeli chcemy wypowiedzieć się w jakimś temacie, zaopiniować czy ocenić, powinniśmy dokonać przynajmniej podstawowej analizy. Warto spojrzeć na dany temat z dwóch stron. Powinniśmy poznać fakty.

Często nawet nie wiemy, co tak naprawdę się wydarzyło. W analizowanym przypadku nie wiemy jakie emocje targały tymi osobami, które tak wyraziście ze sobą dyskutowały. Nie wiemy. I z pewnością nigdy się nie dowiemy. Bo to wszystko być może ma swój początek nawet kilkanaście lat temu.

W mediach społecznościowych obserwujemy więc wysyp ekspertów i osób, które na podstawie fragmentarycznych danych potrafią ocenić, skrytykować albo opowiedzieć się po jednej ze stron.

Ja myślę, że taką grupą zawodową, która świetnie wykorzystuje to, jak działają media społecznościowe, są politycy. Bo to oni potrafią pięknie grać na emocjach i zdają sobie sprawę z tego, że wystarczy wrzucić jakiś kamyczek, kręgi wody się rozniosą i informacja się poniesie. A ludzie dzisiaj nie zwracają kompletnie uwagi na to, jaka była geneza powstania wpisu, postu, jaka jest historia. My nawet nie szukamy tych informacji.

- Na szczęście coraz więcej instytucji i osób zajmujących się tak zwanym fact-checkingiem, czyli sprawdzaniem faktów, pomaga nam rozeznać się w sytuacji, ocenić fakty i sprawdzić, czy to, co zostało powiedziane, szczególnie przez polityków, jest prawdą, czy też mamy do czynienia z manipulacją. Dzięki temu będziemy bardziej świadomi.

My, to znaczy kto?

- Odbiorcy, społeczeństwo.

Pan profesor naprawdę wierzy w to, że społeczeństwo będzie w stanie przeczytać cały ten fact-checking, wysłuchać tego na spokojnie? Bo dzisiaj media grają przede wszystkim na emocjach. Jeśli zostawimy pustkę i nie będziemy reagować na bieżąco, też emocjonalnie, algorytm nas zgubi w sieci. Nie przebijemy się.

- To my decydujemy, czy chcemy prawdy, czy chcemy ulec manipulacji, która wokół nas jest wszechobecna. Takie instytucje jak chociażby Demagog, które weryfikują, co jest prawdą, a co fałszem, będą nas w tym wspierać, ale pracę musimy wykonać także my.

Fantastycznie, że pan profesor powiedział, że to my wybieramy, my decydujemy. Bo chciałam poruszyć jeszcze wątek odpowiedzialności za słowa. My w mediach społecznościowych mamy taką tendencję, że piszemy bez myślenia o tym, co piszemy. I nie dostrzegamy, że po drugiej stronie jest fizyczna, konkretna, prawdziwa osoba i że to, co napiszemy, odbije się na jej życiu. Kto powinien w dobie, kiedy każdy z nas jest nadawcą, mieć odpowiedzialność za słowa? My, którzy to publikujemy? Media, które to powielają? Osoby, które udostępniają? Czy platformy?

- Odpowiedzialność za słowo leży przede wszystkim po stronie osoby, która komunikuje. To my, jako nadawcy, prezentując opinie czy informacje, powinniśmy mieć świadomość i czuć odpowiedzialność za to, co prezentujemy. Powinniśmy podawać to, co jest sprawdzone, zweryfikowane. Powinniśmy zatem opierać się na badaniach, analizach, na danych naukowych, zweryfikowanych, zrecenzowanych. To jest pierwsza rzecz.

Druga rzecz: bardzo ważną rolę odgrywają same platformy, ale także edukatorzy i nauczyciele. Już w szkołach podstawowych i średnich powinniśmy uczyć młodych ludzi odpowiedzialności za słowo. Na tegorocznej edycji Kongresu Profesjonalistów PR mówiliśmy właśnie o tym. Ponieważ słowo może ranić. Może powodować, że krzywdzimy tych, którzy są wokół nas. Może zniszczyć czyjąś karierę zawodową, naukową, pozycję społeczną. Po pięciu, dziesięciu latach spraw sądowych – kiedy zostanie ustalone, że to jednak nie były fakty, tylko manipulacja – żadne słowa nie przywrócą utraconych przez lata godności i honoru. Musimy także pamiętać, że każdy z nas w mediach społecznościowych kreuje własną markę. Czyli odpowiedzialni za słowo jesteśmy wszyscy.

Czyli każdy z nas buduje swoją wiarygodność, swoją tożsamość. I zastanawiam się, jak ją budować w czasach, w których mamy fake news i deepfake. AI potrafi wygenerować, co tylko nam do głowy przyjdzie – na przykład rozmowy, które się nie odbyły, wywiady, które się nie ukazały, persony, które nie istnieją. Jak w takim świecie „układać" sobie życie w mediach społecznościowych? Czy da się do tego podejść racjonalnie? Są jakieś rady, które powinien każdy z nas zastosować, jeśli chce być w tych mediach?

- To my na samym początku powinniśmy sobie odpowiedzieć na pytanie: do czego będziemy wykorzystywali media społecznościowe? Do czego mają nam służyć? W jaki sposób mają wpłynąć na naszą pozycję zawodową, osobistą? Taka refleksja u nas samych, twórców treści, powinna być podstawą dalszych kroków.

Jak się czyta badania dotyczące młodych ludzi, to wynika z nich, że uważają zawód influencera za bardzo atrakcyjny. Wspominam o tym w takim kontekście, że my trochę chyba za późno zaczynamy uczyć młodych ludzi tego, jaką odpowiedzialność powinniśmy ponosić za słowa, jak słowa potrafią ranić też w mediach społecznościowych. Mam wrażenie, że ekran, na którym piszemy wiadomości, trochę nas odgradza od rzeczywistości, w którą te słowa trafiają.

- Niestety, ma pani rację, bo co innego mówimy, siedząc naprzeciw siebie, a co innego jesteśmy w stanie wykrzesać z siebie, siedząc przed ekranem. Powinniśmy uczyć młodych ludzi już od dziecka, że jeżeli komunikujemy coś za pośrednictwem mediów społecznościowych, powinniśmy mieć z tyłu głowy świadomość tego, czy bylibyśmy w stanie to samo powiedzieć w cztery oczy.

eprasa.pl 3a1d233d4e

FOT. BARABARA GALAS

- W mediach społecznościowych, u wielu osób, panuje przekonanie, że są bezkarne. Cokolwiek napiszą, przejdzie bez konsekwencji - mówi Dariusz Tworzydło

To będzie taka pierwsza refleksja. Takie zatrzymanie na chwilę, zastanowienie się, zanim jeszcze wciśniemy przycisk „opublikuj". Chwila refleksji, myślę, że wielu z nas pozwoliłaby podjąć decyzję, że jednak nie zdecyduje się na komentarz.

Ja myślę, że tutaj też działa taka funkcja, że trudno jest wyegzekwować wobec osób, które publikują fake newsy czy nieprawdziwe komentarze i wpływają na markę, jakieś konsekwencje prawne. Już nawet nie mówię o marce osobistej, tylko o wielkich firmach.

- Bo tego też brakuje u nas w polskim prawie. My do tej pory chyba nie zrozumieliśmy, jak ogromny wpływ na nasze życie mają wszystkie media społecznościowe. Jeżeli jedziemy samochodem i przekraczamy prędkość, jest duże prawdopodobieństwo, że zostaniemy złapani przez policję i zapłacimy mandat. Coraz częściej, jeżeli przejedziemy na czerwonym świetle, drony pomogą zidentyfikować sprawcę wykroczenia.

Niestety w mediach społecznościowych, u wielu osób, panuje przekonanie, że są bezkarne. Cokolwiek napiszą, przejdzie bez konsekwencji. Gdyby prawo pozwalało na jednoznaczne identyfikowanie i karanie w takich przypadkach, myślę, że wielu twórców treści zastanowiłoby się, czy faktycznie chce opublikować informację, czy komentarz.

Ja sobie przypominam taką sprawę Doroty Wellman, która znalazła osobę, która pisała te bardzo niepochlebne komentarze na jej temat. I mam wrażenie, że społeczność w mediach społecznościowych nastawiła się przeciwko niej: jakim prawem ona poszła do pracy tej osoby, powiedziała o tym jego współpracownikom. I to na niej skupił się gniew, nie na osobie, która te komentarze wpisywała. To tak, jakbyśmy sami nie pozwalali wyciągać konsekwencji wobec tych osób, bo mamy wolność słowa. No tylko że wolność słowa kończy się tam, gdzie przekraczamy granice wolności drugiej osoby. Ja to tak odbieram.

- Też tak uważam. Dopóki ci, którzy tworzą treści, nie będą czuć konsekwencji swoich działań, dotąd będą się dopuszczali coraz brutalniejszych ataków na inne osoby – a przecież po drugiej stronie jest człowiek, który czuje i często bardzo długo rozpamiętuje – może te konsekwencje powstrzymałyby niektórych przed działaniami, które są destrukcyjne dla tych, których opisujemy.

Patrzmy na to, jak duże firmy i duże marki osobiste, Rafał Brzoska na przykład, walczą z deepfake'ami i fake newsami na temat firm. To jest świat... nawet nie wiem, jak to nazwać...

Dziki świat – te media społecznościowe. Tam ludzie myślą, że mogą wypisywać wszystko, co chcą, a przez to marki upadają. Firmy mają problemy takie, o których kiedyś się im nie śniło, bo tożsamość i wiarygodność buduje się latami, a wystarczy jeden wpis, 30 sekund, i niszczymy to, co powstawało przez lata.

- Tak, zdecydowanie popieram to co robi Pan Rafał Brzoska i uważam, że należy podejmować działania, które pokażą także platformom społecznościowym, że również one są odpowiedzialne za wyznaczanie granic. Popieram działania prawne, promocyjne, informacyjne, a także edukacyjne. Wiem, że jeden wywiad czy jedno spotkanie w klasie nie zmieni nastawienia. To jest praca u podstaw – w rodzinach, szkołach, na studiach. A przede wszystkim musimy budować świadomość - musimy sobie zdawać sprawę z tego, że po drugiej stronie jest człowiek, na którego słowa oddziałują.

Jak pan profesor wyobraża sobie komunikację za 10–15 lat w takim świecie, który napędzają media społecznościowe, algorytmy i platformy, na których publikujemy informacje?

- Mam nadzieję, że nastąpi przesunięcie w kierunku tych platform, które pozwalają na rzeczowy i mądry dialog. Ja zdecydowanie wolę funkcjonować w świecie LinkedIna niż Facebooka. Bo na LinkedInie dyskusje mają bardziej rzeczowy i profesjonalny wymiar. Nawet jeżeli pojawiają się emocje, są one bardziej wyważone. Nie są to działania, które drugiej stronie szkodzą w takim stopniu jak na niektórych innych platformach społecznościowych.

A jakby pan profesor miał dać taką zasadę albo radę innym ludziom: czego nie robić w mediach społecznościowych albo czym się przede wszystkim kierować?

- Przede wszystkim – nie publikuj tego, czego nie byłbyś w stanie powiedzieć drugiemu człowiekowi prosto w twarz. Nie publikuj. Bo łatwo jest przycisnąć przycisk „wyślij". Natomiast jeżeli stajemy i chcemy z kimś porozmawiać, przychodzi refleksja, chwila zastanowienia nad tym co chciałbym powiedzieć? W jaki sposób chciałbym powiedzieć? To przede wszystkim.

Uważam, że powinniśmy również odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chcemy tracić dziennie pięć godzin na wirtualny świat, który nie daje nam tego, co daje realne spotkanie z człowiekiem. No i pamiętajmy też, że w mediach społecznościowych nie ma przycisku „cofnij".

Tam, jak już się coś opublikuje, to po prostu żyje. Tego się nie da wymazać. Nawet jeżeli coś wykasujemy.

- Dokładnie. Ktoś może zachować obraz a potem go opublikować. Te słowa zostaną z nami na zawsze. I to może wrócić za pięć lat w najmniej spodziewanym momencie. To może wrócić za dziesięć lat, wtedy, kiedy będziemy się starali o lepszą pracę. To, co w tym momencie komunikujemy w sieci, zostawia trwały ślad.

I świadczy też o nas, o naszej kulturze. To nasz osobisty ślad. Miejmy świadomość, że ten ślad będzie podążał za nami przez całe życie.

I chyba to jest najlepsze podsumowanie naszej rozmowy.

- Myślę, że tak.

eprasa.pl 3a1d233d4e

CYWILIZACJA

Nagrody Nobla. Stały punkt odniesienia w naszym coraz bardziej rozchwianym świecie

Nagrody Nobla są nudne. Coroczna jazda obowiązkowa, która wzbudza tyle emocji co lektury szkolne wśród uczniów. Ale mimo to każdy w październiku sprawdza, kto wygrał tym razem. A osoby wyróżnione noblowskim medalem stają się w naturalny sposób autorytetami w skali globalnej. I już za to Nagrody Nobla trzeba docenić. Stały się najbardziej efektywnym sposobem kreowania merytokratycznej arystokracji współczesnego świata

Agaton Koziński

„Szósty października 2023 roku to jeden z najwspanialszych dni mojego życia. Przyniósł mi radość, lecz także złożył na moich barkach wielką odpowiedzialność. Niemal od razu zaczęłam też odczuwać narastający gniew reżimu. Wiedziałam, że restrykcje i presja będą teraz jeszcze większe" – pisała Narges Mohammadi, laureatka pokojowego Nobla z 2023 r.

Ta irańska dziennikarka i aktywistka w swojej autobiografii, którą w Polsce właśnie wydał Znak, ze szczegółami opisała moment, kiedy dowiedziała się o wyróżnieniu. Znajdowała się wtedy w zakładzie karnym Ewin w Teheranie. Ciężkie więzienie. Przeznaczone przede wszystkim dla politycznych dysydentów, w którym regularnie władze sięgają po tortury i wykonują egzekucje. Doniesienia o nagrodzie wywołały wśród jej więziennych współtowarzyszy eksplozję radości połączoną ze wspólnymi śpiewami, tańcami i skandowaniem politycznych haseł. Co ciekawe, w tych wspomnieniach nie ma nic o zachowaniu strażników, jakby ci nie zauważyli tego niezwykłego poruszenia na kobiecym oddziale więzienia. Reakcja przyszła dopiero w kolejnych tygodniach, gdy – jak wspominała Mohammadi – zaczęto jej mocno utrudniać życie w więzieniu.

„Niektórzy uważają, że Nagroda Nobla czyni człowieka nietykalnym. Ja nigdy nie żywiłem takich złudzeń" – mówił nigeryjski dramaturg Wole Soyinka, który dostał literackiego Nobla w 1986 r. On sam spędził wiele lat w nigeryjskim więzieniu, choć akurat po otrzymaniu Nobla problemów z władzami już nie miał. Ale to nie jest reguła. Cytowana przed chwilą Narges Mohammadi została zatrzymana w grudniu 2025 r., a więc trzy lata po wyróżnieniu. Gdy wybuchły w Iranie protesty przeciwko reżimowi ajatollahów, natychmiast aresztowano ją i przetrzymywano w ciężkich warunkach (w więzieniu przeszła m.in. atak serca).

FOT. LARS ASTROM/NOBELPRIZE.ORG

Wisława Szymborska, laureatka literackiego Nobla w 1996 r., na bankiecie wieńczącym noblowską galę

Nobel nie dał także immunitetu Alesiowi Bialackiemu. Nagrodę otrzymał w 2022 r., a w marcu 2023 r. sąd w Mińsku skazał go na 10 lat kolonii karnej. Chiński dysydent i pisarz Liu Xiaobo dostał literackiego Nobla w 2010 r., ale mimo to zmarł w więzieniu siedem lat później. Podobny los spotkał niemieckiego pacyfistę Carla von Ossietzky'ego – mimo wyróżnienia otrzymanego w 1935 r., hitlerowskie władze w Berlinie trzymały go za kratami, aż zmarł w 1938 r. Widać, że nie dla wszystkich „najwspanialszy dzień życia" okazywał się początkiem czegoś pięknego.

Bez dewaluacji

Tych kilka wymienionych przed chwilą przykładów pokazuje rolę Nagrody Nobla. Wyróżnienia, które stanowi fenomen sam w sobie. Jest przyznawane od 1901 r., otrzymało ją do tej poru około tysiąca osób - i do dziś nie uległo dewaluacji. Żyjemy w czasach postępującej relatywizacji rzeczywistości, subiektywizacji systemów wartości, ale ufundowana przez Alfreda Nobla skutecznie wymyka się współczesnym trendom. Cały czas udaje jej się zachować powagę, wiarygodność, prestiż, szacunek. Choć przecież nie ominęły jej skandale (także seksualne), to żaden z nich nie okazał się na tyle duży, by podmyć tę skałę, na której stoi wzniesiona przez Nobla latarnia. To właśnie dlatego co roku tydzień noblowski skupia na sobie uwagę całego świata.

Powiedzmy sobie szczerze: dla zdecydowanej większości z nas nazwiska osób, które w danym roku otrzymują tę nagrodę, nic nie mówią. Poza wąską grupą specjalistów z danej branży nazwiska osób otrzymujących Nobla czy to z chemii, czy z fizyki, czy nawet literatury nie mówią praktycznie nic. Niewiele lepiej jest z najbardziej popularną nagrodą. Nawet pokojowy Nobel rzadko kiedy wzbudza większe poruszenie. Gdyby otrzymał go Donald Trump (bardzo chce), pewnie wywołałoby to globalną, zbiorową dyskusję. Ale jeśli dostanie organizacja Caritas (jeden z tegorocznych faworytów), to przez świat przejdzie przez chwilę szmer ogólnego podziwu, a potem każdy uda się do swoich zajęć. Drugiej refleksji na ten temat nie będzie.

I to jest część opowieści o Noblach. One są w dużej części nijakie – w tym sensie, że nie uruchamiają (czy może uruchamiają bardzo rzadko) zbiorowych emocji. Napiszmy to otwarcie: są po prostu nudne. Nie mają nic wspólnego z estetyką internetowych shortów, postów na Tik-Toku czy rolek na Instagramie, które dziś rządzą masową wyobraźnią. One są wręcz na antypodach tego blasku i blichtru przykuwających uwagę ludzi na co dzień. Nikt o nich nie rozmawia w windzie, nie wrzuca o nich ekscytujących postów na media społecznościowe, nie dzwoni do przyjaciół natychmiast po tym, jak usłyszy nazwiska zwycięzców, by z nimi o tym pogadać.

Jest odwrotnie. Tymi nagrodami żyją jedynie poszczególne branże, gałęzie nauki. Są one bardzo ważne dla tych 1300 osób, które co roku biorą udział w bankiecie noblowskim wydawanym w grudniu w sztokholmskim ratuszu. I to właściwie wszystko. Jak w ósmej klasie podstawówki trzeba przeczytać „Pana Tadeusza", przebrnąć przez „Nad Niemnem" w liceum, tak co roku trzeba zwrócić uwagę na laureatów wskazanych przez szwedzkich i norweskich akademików. Trochę to przypomina wizytę u dentysty – nikt tego nie lubi, ale wie, że tak trzeba. Jazda obowiązkowa w corocznym cyklu życia.

Noblowski paradoks

Tylko skoro Noble są nudne i to jedynie „jazda obowiązkowa", to czemu poświęcamy na nie tyle czasu? Bo dla laureatów tej nagrody bardzo często życie dzieli się na „przed" i „po" Noblu. „Prestiż Nagrody Nobla jest tak wielki, że nagle zyskuje się nowy status" – przyznał argentyński biochemik Luis Federico Leloir, laureat z 1970 r. „Zdziwiłbyś się, ile drzwi otwiera Nagroda Nobla" – mówił amerykański pisarz Elie Wiesel, który otrzymał pokojowego Nobla w 1986 r. „Nagroda Nobla daje możliwość publicznego zajmowania stanowiska" – taki komentarz wygłosił amerykański fizyk Philip Warren Anderson, który swoje wyróżnienie zgarnął w 1977 r.

Po otrzymaniu Nobla życie laureatów zmienia się w sposób zdecydowany. „Dla większości ludzi prawdopodobnie najważniejszą kwestią związaną z Nagrodą Nobla jest to, czy uda im się zdobyć upragnione miejsce parkingowe na terenie kampusu" – żartował astrofizyk Saul Perlmutter wyróżniony w 2011 r. Możliwość zaparkowania auta blisko pracy to duża korzyść, ale jedna z wielu. Sama nagroda jest dość pokaźna, dla dużej części laureatów – zwłaszcza wywodzących się spoza świata zachodniego - ten milion euro oznacza radykalną poprawę jakości życia.

Ale przede wszystkim życie się zmienia z powodu prestiżu, jaki roztacza Nobel wobec swoich laureatów. Zdobycie tej nagrody często okazywało się przepustką do najwyższych splendorów, pozwalało sięgać po władzę. Prezydentami swoich krajów zostawali tacy nobliści, jak Nelson Mandela (RPA), Lech Wałęsa (Polska), José Ramos Horta (Timor Wschodni). Kanadyjczyk Lester Bowles Pearson otrzymał Nobla w 1957 r. za działania na rzecz zakończenia kryzysu sueskiego, a w 1963 r. został szefem rządu. Aung San Suu Kyi dostała pokojowego Nobla w 1991 r. za walkę z juntą wojskową rządzącą Birmą (Mjanma), a w 2016 r. przejęła polityczną władzę w kraju. Dla każdej z tych osób medal noblowski stawał się paszportem do władzy. Dla mieszkańców danego kraju fakt, że ich współobywatel otrzymał tak

eprasa.pl 3a1d233d4e

FOT. NOBEL PRIZE OUTREACH. PHOTO: NANAKA ADACHI

Gala wręczania Nagród Nobla w 2025 r.

ważne wyróżnienie stawał się rękojmią ich wiarygodności i uczciwości. Jeden z wymiarów Nobla.

Wymiarów jest więcej, często bardzo prozaicznych. Na przykład nobliści stają się dużą atrakcją dla wszelkiego rodzaju konferencji, gdzie występują w kategoriach mówców honorowych. Oczywiście, nie za darmo. Na przykład Turek Orhan Pamuk, laureat literackiego Nobla z 2006 r. za jedno wystąpienie otrzymuje ok. 25 tys. dolarów. Stawki Lecha Wałęsy czy ekonomisty Josepha Stiglitza są jeszcze wyższe (ceny za danymi opublikowanymi na stronie agencji Celebrity Speakers). Żaden z nich do takich pieniędzy by się nawet nie zbliżył, gdyby nie wyróżnienie akademików ze Sztokholmu i Oslo. A przy okazji ta sytuacja pokazuje, jaki realny wymiar ma ta „nudna" nagroda.

Choroba Nobla

„Zostaniecie zasypani prośbami o wypowiedzi na najróżniejsze tematy, o podpisywanie listów i petycji oraz ogólnie o użyczenie swojego nazwiska na rzecz różnych spraw, niektórych szlachetnych, innych mniej" – ostrzegał przyszłych noblistów w artykule napisanym w 2013 r. brytyjski biochemik Paul Nurse, który sam otrzymał nagrodę w 2001 r. A przy okazji dotknął innej delikatnej kwestii związanej z tą nagrodą: ego jej laureatów.

Prestiż Nagrody Nobla jest tak wielki, że nagle zyskuje się nowy status

LUIS FEDERICO LELOIR
biochemik, noblista

„Gdybym potrafił to wyjaśnić zwykłemu człowiekowi, nie zasługiwałbym na Nagrodę Nobla" mówi amerykański fizyk Richard Feynman, wyróżniony w 1965 r. Ten fizyk w swojej branży miał opinię niemal gwiazdy show-biznesu ze względu na niekonwencjonalne zachowania, m.in. fascynował kulturą Indian i uczył się od nich grać na bębnach.

Inni nobliści szli dużo dalej. Linus Pauling, który otrzymał nagrodę z chemii (1954) i pokojową (1962), później skręcił w bardzo dziwną stronę. Wykorzystywał swój autorytet m.in. do przekonywania, że choroby nowotworowe można leczyć witaminą C. Mocno angażował się w ruch antywojenny. Wynalazca tranzystora William Shockley, wyróżniony w 1956 r. fizycznym Noblem, później zaangażował się w promowanie eugeniki i promowania rasistowskich poglądów. Z kolei brytyjski fizyk Brian Josephson, laureat Nobla z 1973 r. za przełom w badaniach nad nadprzewodnictwem, pod koniec życia skupił się na parapsychologii.

Te przykłady są tylko kilkoma pokazującymi na czym polega zjawisko nazywane „chorobą Nobla". Ten termin spopularyzował amerykański onkolog David Gorski określając w ten sposób noblistów, którzy otrzymali swoje nagrody i później swój autorytet i sławę wykorzystywali do głoszenia poglądów daleko wychodzących poza ich kompetencje branżowe. Austriacki pisarz Peter Handke (Nobel w 2019 r.) publicznie negował ludobójstwo w Srebrenicy. Norweski pisarz Knut Hamsun, nagrodzony przez akademików w 1920 r., później otwarcie wspierał nazizm, a swój medal noblowski przekazał Josephowi Goebbelsowi. Najlepszy dowód, na jakie manowce może zwieźć ego napompowane do granic możliwości wręczeniem prestiżowego odznaczenia.

Nie dotyczy to wszystkich. Na przykład Wisława Szymborska po otrzymaniu Nobla w 1996 r. trzymała się w dużej mierze z dala od polskiego życia publicznego - choć przecież w tak rozpolitykowanym kraju jak nasz na pewno jej głos byłby dobrze słyszany. Ona jednak nie uległa pokusie, nie wpadła w sidła zdiagnozowanego przez Davida Gorskiego zaburzenia. Warto to podkreślić.

Ale też warto podkreślić samo znaczenia Nobli. Istnieją 125 lat - i mimo całego morza kontrowersji, jakie wyrosły przez ten okres wokół tej nagrody, zdołały zachować swój prestiż i powagę. Od dawna są stałym punktem odniesienia w naszym coraz bardziej rozchwianym świecie. I choćby z tego powodu warto je doceniać.

eprasa.pl 3a1d233d4e

ŁÓDŹ

Adin, dwa, tri. Jak Anatolij Kaszpirowski zahipnotyzował Polskę lat dziewięćdziesiątych

Na czarno ubrana postać przeszywająca wzrokiem zgromadzonych przed telewizorami, wolno odliczający głos: Adin, dwa, tri... Zmarłego właśnie w wieku 87 lat Anatolija Kaszpirowskiego znają wszyscy starsi Polacy. Nie wszyscy jednak wiedzą, że jego oszałamiająca kariera zaczęła się od występów w Łodzi

Anna Gronczewska

Kariera Anatolija Kaszpirowskiego zaczęła się w telewizji Związku Radzieckiego. Gabriel Michalik jest autorem książki „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy". Spotkał się z Anatolijem, poznał jego historię i początki zawrotnej popularności w Polsce.

– Mirosław Kuliś, łódzki dziennikarz, zobaczył w Telewizji Polskiej seanse Kaszpirowskiego, które wcześniej zarejestrowano w Związku Radzieckim – opowiada Gabriel Michalik. – Potem pojechał do Kijowa, by przeprowadzić wywiad z Anatolijem. Na miejscu zorientował się, że to ciekawy temat nie tylko na wywiad. Uznał, że może to dobry interes i po kilku miesiącach sprowadził uzdrowiciela do Polski. Pierwszy jego seans odbył się w Łodzi, w Hali Sportowej.

Kaszpirowski już w Łodzi

W niedzielę seanse w Hali Sportowej

Na zdjęciu: powitanie.

CAF — Damazy Kwiatkowski — telefoto

W ostatni dzień kwietnia, w poniedziałek, o godz. 23.17 na łódzkim lotnisku Lublinek wylądował wojskowy helikopter Mi-8, który przywiózł do naszego miasta rosyjskiego psychoterapeutę — znanego poprzez TV milionom mieszkańców Polski — Anatolija Kaszpirowskiego. Przylot „uzdrowiciela" organizowany był w największej tajemnicy. Na lotnisku była już jednak ekipa łódzkiej telewizji co doprowadziło onie-

tyczne Anatolija Kaszpirowskiego odbędą się w Hali Sportowej w Łodzi w dniu 6 maja (niedziela) o godz. 11 oraz 17 a także 7 maja (poniedziałek) o godz. 17.30.

Karty wstępu są do nabycia już od dzisiaj m.in. w następujących punktach przedsprzedaży:

— Hala Sportowa (kasy od strony ul. Stefanowskiego i al. Politechniki) w godz. 9—18,

— DKM ul. Nawrot 27, w

Msza w sanktu... Jerzego Popiełuszki ... siedziby OPZZ ... manifestacja ...

Święto Pracy

Głównym akcentem „solidarnościowych" obchodów 1 Maja w Warszawie były: msza św. i spotkanie w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

W swym kazaniu ks. Malkowski przypomniał, że 1 Maja jest obchodzony uroczyście przez Koś-

50 mln zł nagrody za wskazanie sprawców podpalenia

Minister spraw wewnętrznych wyznaczył nagrodę w wysokości 50 mln zł dla osoby, która wskaże lub udzieli informacji pozwalającej na ustalenie i ujęcie sprawcy bądź sprawców podpalenia miesztania red. Jerzego Jachowicza, a także — być może — kilku innych podobnych podpaleń.

Informacje można przekazywać do Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych (nr tel. 45-65-83 lub 26-61-20) do Rejonowego U-

FOT. ARCHIWUM

Pierwsza strona „Dziennika Łódzkiego" z 2 maja 1990 roku. Informacja o seansie Kaszpirowskiego była na czołówce gazety

Ukrył się w centrum Łodzi

Kaszpirowski pojawił się w Łodzi na przełomie kwietnia i maja 1990 roku. Miał przylecieć na łódzkie lotnisko Lublinek helikopterem. Jego przylot miał być tajemnicą, ale na płycie lotniska pojawiła się ekipa łódzkiej telewizji. Helikopter wylądował więc w Leźnicy koło Łęczycy, stamtąd uzdrowiciel przyjechał do Łodzi samochodem.

– W ciągu następnych dni dziennikarze próbowali wytropić tajny ośrodek, w którym Kuliś zakwaterował psychoterapeutę – czytamy w książce „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy". A prawda była zgodna z porzekadłem, że najciemniej jest pod latarnią. Przez tydzień kwaterował w apartamencie w Grand Hotelu, w samym centrum Łodzi.

Pierwszy seans odbył się w łódzkiej Hali Sportowej przy ówczesnej ulicy Worcella, obecnie ks. Skorupki.

– Nie była to klapa, ale z pewnością i nie sukces – wspominał w książce Gabriela Michalika Mirosław Kuliś. – Sprzedało się niespełna pięć tysięcy biletów. Miejsc w hali było prawie dziewięć tysięcy. Tak rozlokowaliśmy publiczność, żeby widownia nie świeciła pustkami.

Jak pisze w swojej książce Gabriel Michalik, przy bramie prowadzącej wprost z hali na ulicę zebrało się kilkudziesięciu Łodzian pragnących raz jeszcze z bliska zobaczyć Kaszpirowskiego.

– Sprzyjało mi szczęście – tak w książce „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy" wspominał to Mirosław Kuliś. – W pobliżu stała wraz z ekipą zdjęciową koleżanka z łódzkiego oddziału telewizji. Wzdłuż drogi, którą jechała limuzyna, ustawiono barierki. W ciasnej przestrzeni pomiędzy barierkami a samochodem te kilkadziesiąt osób stworzyło mimowolnie sztuczny tłok.

Zawołałem koleżankę. Kamera zarejestrowała moment, gdy ludzie przepychają się, aby być jak najbliżej Kaszpirowskiego. Te sceny wyemitowano na antenie ogólnopolskiej. W ogóle powtarzano je dość często. Były bardziej efektowne, bardziej telewizyjne niż relacja z sennego seansu.

Później nie było już problemów z zapełnianiem hal w Katowicach, Gdańsku czy Warszawie. Bilety na seanse Kaszpirowskiego kosztowały 30-50 tysięcy złotych, a średnia pensja w Polsce wynosiła milion.

Po swym pierwszym polskim seansie Anatolij Kaszpirowski złożył życzenia czytelnikom „Dziennika Łódzkiego" i udzielił gazecie wywiadu. Nie odpowiedział na pytanie, czy wierzy w Boga. Twierdził też, że do leczenia potrzebuje czystego umysłu.

Podczas wizyty w Łodzi uzdrowicielowi towarzyszyła ówczesna żona Walentyna Kaszpirowska.

72-letnia Jolanta Śmiechowska, emerytowana księgowa, dobrze pamięta wizytę uzdrowiciela w Łodzi, choć już nie datę.

– Miałam od lat kłopoty ze zdrowiem – opowiada. – Z kręgosłupem, żołądkiem. Kaszpirowskiego wcześniej znałam z telewizji. Gdy dowiedziałam się, że przyjeżdża do Łodzi, to postanowiłam pójść na spotkanie. Okazało się, że nie było prosto znaleźć bilet. Pomógł mi szwagier. Zawiózł nas nawet do hali. Mnie i moją mamę, która miała kłopoty z nogami.

Jolanta nie zapomni, że siedziała w tłumie. Kaszpirowski zajął miejsce na scenie. Siedziała tak daleko, że nawet go dobrze nie widziała. Ale tak, jak w telewizji, zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy... dziesięć.

– Koło mnie i mamy siedziała młoda dziewczyna – wspomina Jolanta. – W pewnym momencie podczas tego liczenia osunęła się z krzesełka, ludzie zaczęli ją cucić. Tak widać to przeżyła. Na mnie i na mamę nie podziałało i nie pomogło w naszych kłopotach zdrowotnych.

Psychiatra z Winnicy

Gabriel Michalik wiele razy spotykał się, rozmawiał z Anatolijem Kaszpirowskim.

– Anatolij miał bardzo silną osobowość – twierdzi . – Był bardzo apodyktyczny, ale też serdeczny i życzliwy wszelkiemu ludzkiemu nieszczęściu. W tej apodyktyczności zawierało się przewrażliwienie na swoim punkcie. Stąd przez ostatnie 20 lat toczył bezustanne walki ze śmiejącymi się z niego dziennikarzami, wytaczał procesy. Stał się memiczną postacią. Był po wielu operacjach plastycznych z ufarbowanymi na czarno włosami. Ja go w każdym razie bardzo lubiłem, trochę się go bałem. Bałem się go, bo ciągle ode mnie czegoś chciał. Niebawem będzie można oglądać film dokumentalny o Kaszpirowskim, który na potrzeby HBO nakręcił Łukasz Konopa.

Anatolij Kaszpirowski był z wykształcenia lekarzem psychiatrą. Pracował w szpitalu w ukraińskiej Winnicy.

– Jego matka Jadwiga była Polką, a ojciec po prostu sowieckim człowiekiem – mówi Gabriel Michalik. – Ojciec miał białoruskie i ukraińskie korzenie. Mama Anatolija raz przyjechała na jeden z polskich seansów syna. Mirek Kuliś zachwycał się jej piękną, kresową polszczyzną. Trzeba pamiętać, że Kaszpirowski dorastał w czasach stalinowskich. Jego polskie korzenie nie były eksponowane. W latach 80. jego kariera miała charakter wszechsowiecki. Najpierw awansował do Kijowa, a potem do Moskwy. A w ostatnich latach życia dzielił czas pomiędzy Moskwę i Nowy Jork. Miał też amerykańskie obywatelstwo. Po ataku Rosji na Ukrainę Kaszpirowski znalazł się w roli zakładnika. Zaraz po wybuchu wojny wypowiedział się o niej krytycznie, a był wtedy w Rosji. Ktoś go musiał nastraszyć, bo potem więcej o wojnie się nie wypowiadał.

Gabriel Michalik opowiada, że ponad rok temu, gdy Kaszpirowski był jeszcze w dobrej formie, na potrzeby filmu Łukasza Konopy miał przyjechać do Polski, dać jakiś seans, rozeszły się nawet bilety. Seans miał się odbyć w Warszawie, ale w tej sprawie u prezydenta Rafała Trzaskowskiego interweniował ambasador Ukrainy, który twierdził, że Kaszpirowski jest zwolennikiem Putina. Co nie było prawdą, bo w książce Michalika wypowiadał się krytycznie o prezydencie Rosji. Ostatecznie do seansu nie doszło.

Niedoszły seans z kosmosu

Anatolij Kaszpirowski ostatni raz był w Polsce w 2023 roku. Spotkał się wtedy z Lechem Wałęsą. Chciał, by były prezydent Polski, jako laureat Nagrody Nobla, pomógł mu spełnić jego wielkie marzenie i skontaktował go z Elonem Muskiem. Marzył, by polecieć w kosmos i stamtąd przeprowadzić seans.

– Spacerowaliśmy wtedy po Warszawie, ludzie go poznawali – wspomina Gabriel Michalik. – Starsze panie podchodziły i prosiły o uzdrowienie. Jednak najbardziej wzruszające zdarzenie miało miejsce na Okęciu. Tam podeszły do niego dwie starsze Ukrainki. Uklękły przed nim jak przed Mesjaszem i pytały: – Mistrzu, kiedy skończy się wojna!

Wiadomość o śmierci Kaszpirowskiego była dla Gabriela Michalika zaskoczeniem, choć wiedział, że od dłuższego czasu chorował.

– Nie miałem z nim przez ostatni rok kontaktu – tłumaczy. – Rok temu wydarzyła się też niezwykła rzecz. Mając 86 lat po raz kolejny został ojcem. Nie złożyłem mu wtedy gratulacji. Łukasz, reżyser filmu, rozmawiał często z trzecią żoną Anatolija, Gulizar. Mówiła, że jest w kiepskim stanie. Ma problemy z pamięcią, był w szpitalu.

Ani szarlatan, ani uzdrowiciel

Często stawia się pytanie, kim był Kaszpirowski? Szarlatanem czy uzdrowicielem?

– Myślę, że nie był ani jednym, ani drugim – odpowiada Gabriel Michalik. - Był lekarzem psychiatrą, ale pracując w szpitalu w Winnicy dorabiał sobie pokazami hipnozy estradowej. Jeździł z nimi po całym Związku Radzieckim. Nauczył się rozmaitych technik, sztuki perswazji. Później w jakiś sposób udało mu się odkryć, że ten sposób może poprawiać czyjeś samopoczucie. Spektakularnym sukcesem było znieczulenie podczas trzech operacji chirurgicznych z pomocą hipnozy. By to poważne operacje na jamie brzusznej u osób, które nie mogły być poddane zwykłej narkozie. Te operacje transmitowała sowiecka telewizja.

W Rosji seanse telewizyjne Kaszpirowskiego oglądało nawet 300 milionów ludzi, a w Polsce – 20 milionów. Prof. Włodzimierz Piątkowski, socjolog z Uniwersytetu Marii Skłodowskiej w Lublinie, przeanalizował kilkadziesiąt tysięcy listów, jakie Polacy wysyłali do telewizji po seansach Kaszpirowskiego. Wynika z nich, że efekt terapeutyczny był poniżej efektu placebo. Polacy pisali jednak w listach o zanikaniu jakichś owrzodzeń, blizn, guzów, zmian skórnych. Niektórym miały odrastać włosy. Podobno jego seanse dawały dobre efekty w leczeniu alergii.

Nikt jednak nie zaprzeczy, że Kaszpirowski zrobił w Polsce oszałamiającą karierę.

eprasa.pl 3a1d233d4e

HISTORIA

Señor Zorro pozdrawia z hiszpańskiej Kalifornii

Pierwszy odcinek serialu „Zorro" obejrzało 10 października 1957 roku w telewizji ABC ponad 15 milionów Amerykanów. Potem liczba widzów tylko rosła

Mariusz Grabowski

Guy Williams z zabójczym wąsikiem jest jednym z najbardziej znanych filmowych Zorro

FOT. COURTESY EVERETT COLLECTION/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

Serial przyciągał nie tylko wartką akcją. Przypominał też, że Kalifornia byłą ongiś hiszpańska, a pierwowzorem głównego bohatera był kalifornijski banita Joaquin Murrieta z czasów XIX-wiecznej gorączki złota w San Francisco.

Historyczne tropy

Aby zrozumieć tło ekranowe przygód Zorro, trzeba przeprowadzić kilka krótkich śledztw. Pierwsze na temat ABC, stacji-matki, która wyprodukowała serial, drugie na temat pierwowzoru jego głównego bohatera, trzecie o historii Nueva España, czyli Nowej Hiszpanii w Ameryce.

W 1957 roku American Broadcasting Company, jedna z trzech głównych amerykańskich potęg telewizyjnych, należała do koncernu United Paramount Theatres, zachowując – jak twierdzi Anthony Smith w opasłym tomie „Television. An International History" – dużą „swobodę finansową, programową i organizacyjną".

Jednym ze sposobów na przyciągnięcie publiki przez ABC były popularne seriale westernowe. Smith podaje, że w 1956 r. liczba teleodbiorników w Stanach wynosiła już 36 mln (dla porównania: w całej Europie niespełna 5 mln), zatem było o co konkurować. „Zorro" miał wykraczać poza zwykłą masówkę. Miał być serialem familijnym, nadawanym przed południem, z krótkimi, 30-minutowymi odcinkami o przesłaniu umoralniającym.

Odwoływanie się do hiszpańskiej tradycji nie było przypadkowe. Szef ABC Edward J. Noble i jego ówczesny przełożony z UTP Leonard H. Goldenson w ramach zawodowych relacji często polowali na kaczki w dolinie Sacramento. Taki był model rozrywki telewizyjnych bossów z nowojorskich elit. I to tam wpadł im do głowy pomysł stworzenia serialu o hiszpańskim herosie sprzed wieków.

Z bandyty – bon vivant

Pamięć o hiszpańszczyźnie jest dziś w Kalifornii starannie pielęgnowana. Podobnie jak legendy o postaci Joaquína Murietty, zaoceanicznym odpowiedniku słowackiego Janosika. Prawdopodobnie był to drobny koniokrad, ale gdy zebrał bandę, przypisano mu z czasem kilka zabójstw. Gdy zaszedł ludziom za skórę, wytropił go jeden z kalifornijskich rangerów – łowców głów – i zastrzelił mniej więcej w 1850 r. Działo się to w czasach, gdy Kalifornia była już amerykańska.

Głowy Murietty i jego najbliższego druha Trzypalczastego Jacka odcięto, wsadzono do słojów i zalano whisky. Można je było później oglądać za dolara na jarmarkach i w gabinetach osobliwości. Ich bandycka sława z czasem tylko rosła, a po ukazaniu się w 1854 r. powieści Johna Ridge'a „The Life and Adventures of Joaquín Murieta: The Celebrated California Bandit" stali się prawdziwą legendą.

Armia pracujących dla ABC scenarzystów (Smith podaje, że nad fabułą pierwszego odcinka „Zorro" biedziło się ich 15) dokonała prawdziwego cudu. Nie tylko przesunęli akcję o kilka dekad wstecz, ale z nienawidzącego Ameryki i Amerykanów meksykańskiego bandziora stworzyli wyrafinowanego hiszpańskiego szlachcica don Diego de la Vegę – naszego „Zorro". A ściślej mówiąc, ukradli – co czym później.

Sielski świat Californios

Czas na śledztwo historyczne i pytanie: jak Diego de la Vega znalazł się w Los Angeles w Nowej Hiszpanii? Był potomkiem Hiszpanów, którzy odkryli ten kawałek świata w poł. XVI wieku. Akcja „Zorro" dzieje się na przełomie XVII i XIX w. Z serialu dowiadujemy się, że don Diego wrócił właśnie ze studiów w Hiszpanii, co dowodzi, że komunikacja między metropolią a jej kolonią funkcjonowała jeszcze wówczas w najlepsze.

Elitę społeczną i polityczną Kalifornii stanowili tzw. Californios – hiszpańskojęzyczni potomkowie osadników z czasów kolonialnych, którzy posiadali gigantyczne majątki ziemskie nadawane przez rząd (tzw. ranchos). Hodowali na nich wielkie stada bydła. Znacznie niżej byli meksykańscy rzemieślnicy i robotnicy pracujący w tzw. pueblos lub jako nadzorcy na ranczach. Na samym dnie znajdowali się chłopi (peones) i rdzenna ludność, czyli Indianie, nierzadko zmuszani do niewolniczej lub półniewolniczej pracy na rzecz Californios. Na terenie Kalifornii istniała sieć franciszkańskich misji – centrów administracyjno-religijnych. Rządzili nimi mianowani przez hiszpańską Koronę gubernatorzy.

Sielski świat don Diego skończył się w 1821 r., gdy w wyniku powstania przeciwko hiszpańskiej władzy Kalifornia stała się częścią niepodległego Meksyku i pozostała nią przez 25 lat. Potem na wszystkim położyli łapę Amerykanie. Już w 1850 r. Kalifornia przystąpiła do Unii jako 31 stan. Niewykluczone, że sędziwy don Diego de la Vega mógł o tym przeczytać w gazecie, pijąc wino na patio swojej hacjendy.

„Zorro" znaczy „lis"

W latach 1957-1961 powstało 78 odcinków serialu (plus 4 specjalne). Ich fabuły były uproszczone do minimum. Don Diego (grany przez Guya Williamsa z zabójczym wąsikiem), w dzień złoty młodzian i birbant, w nocy staje się mścicielem w pelerynie i z maską na twarzy, który wymierza kary nikczemnikom i wybawia uciśnionych. Pomagają mu służący Bernardo i wyjątkowo bystry koń Tornado. Postacią humorystyczną jest sierżant Garcia, opilec i obżartuch, ale o złotym sercu.

Jego wrogiem jest zaś kapitan Monastario, przedstawiciel administracji kolonialnej, który już w pierwszym odcinku chce zniszczyć don Nacho Torresa, właściciela ziemskiego, niesłusznie oskarżonego o zdradę. Co ciekawe, Zorro nie działa z pobudek klasowych – większość serialowych intryg rozgrywa się w sferze hacendados – bogatych posiadaczy ziemskich – ale z poczucia sprawiedliwości.

Universum serialu jest głęboko zakorzenione w hiszpańskiej kulturze i tradycji. Przykładowo: Zorro zręcznie wywija rapierem, co jest bezpośrednim nawiązaniem do hiszpańskiej szkoły szermierki, zwanej La Verdadera Destreza. A jego czarna peleryna oraz kapelusz typu cordobés z płaskim rondem nawiązują do tradycyjnego, eleganckiego ubioru andaluzyjskich jeźdźców.

Duch Los Angeles

Ów ideowo-estetyczny sztafaż „Zorro" nie narodził się w gabinetach scenarzystów ABC – wymyślił go w 1919 r. pisarz Johnston McCulley w powieści „The Curse of Capistrano". Jej bohaterem jest szlachetny banita o ksywce Zorro, który pozostawia po sobie tajemniczy znak „Z". Powieść odniosła ogromny sukces i już rok później została zekranizowana w niemym filmie pod tytułem „Znak Zorro". Główną rolę zagrał w nim Douglas Fairbanks.

To McCulley nakreślił mapę hiszpańskości „Zorro". Akcja dzieje się w przestrzeni między Los Angeles a misją San Juan Capistrano. Komendant Monasterio czy sierżant Garcia odzwierciedlają hiszpańską obecność militarną na odległych rubieżach imperium. Z kolei ojciec Felipe reprezentuje system misyjny, który miał za zadanie chrystianizację klas niższych.

W czasie gdy Zorro dokonuje swoich karkołomnych wyczynów, Amerykanów (jankesów, jak mówiono w XIX w.) w Kalifornii jeszcze nie ma. Gdy w kilku serialowych odcinkach w Los Angeles pojawia się traper Joe Cran, natychmiast ujawniają się kulturowe i polityczne waśnie. Sytuacja gęstniej zwłaszcza w momencie, gdy w tawernie Crane popada w konflikt z don Carlosem Fernandezem – Hiszpan traktuje przybysza jako „prymitywa i pariasa z Północy".

Ameryka górą

Odnosząc ten incydent do historii, hiszpańska Kalifornia w starciu z rosnącą i drapieżną potęgą Stanów Zjednoczonych nie miała żadnych szans na przetrwanie. Hiszpania powoli traciła nie tylko Kalifornię, ale także dzisiejszą Nevadę, Utah, Kolorado, Arizonę, Nowy Meksyk oraz Teksas.

W 1821 r. Korona nie miała już większości terytorium zamorskiego, z wyjątkiem Kuby, Filipin oraz Portoryko. Administracji tzw. Wicekrólestwa Nowej Hiszpanii podlegały jeszcze formalnie tylko Filipiny. Po błyskawicznej wojnie amerykańsko-hiszpańskiej w 1898 r. Kuba uzyskała niepodległość (pod kontrolą Stanów), zaś Portoryko, Guam i Filipiny stały się terytorium USA.

Czasy don Diego de la Vegi były ostatnimi chwilami istnienia Starego Świata. Warto o tym pamiętać, otrzepując z kurzu kolejne odcinki klimatycznego teletasiemca o nazwie „Zorro".

eprasa.pl 3a1d233d4e

DROBNE

Nieruchomości

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby, ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Praca

ZATRUDNIĘ

ZATRUDNIĘ kierowców C+E
w transporcie międzynarodowym
System 2/1, 12/3 dni
Wynagrodzenie pakiet mobilności- 510 zł doba
ZUS płacony od 9420 zł
Nowa flota pojazdów, naczepy izotermy
tel. 731 091 399

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURY nioski dowóz 600539790

AUTOREKLAMA

strona zdrowia

Czytaj dla zdrowia
stronazdrowia.pl

Jak wyglądała codzienność PRL

Z rozmachem wydana książka odwołująca się do sentymentu za latami młodości. Autor przypomina, jak wyglądała codzienność PRL.

Jacek Piekara „Świat zaginiony. Wyprawa do wnętrza PRL. Tom 2", wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2026, cena 149,99 zł

Batman wymyślony od początku

Batman w nowym wcieleniu. Poznajemy od początku szczegóły z życia bohatera. Całość narysowana z wrażliwością mocno odmienną od klasycznej kreski Boba Kane'a.

Scott Snyder, Nick Dragotta „Absolute Batman. Zoo", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 89,99 zł

Dokąd jesienią tupta jeż

Właśnie otrzymujemy nową wersję dziecięcego klasyka „Dokąd nocą tupta jeż". Historyjka jeżyka, który się nie spieszył, ale zawsze dbał o las.

Marije Tolman „Jeżyk. Strażnik lasu", wyd. Widnokrąg, Warszawa 2026, cena 42 zł

Dlaczego właściwie powstał KOR

Komitet Obrony Robotników to jedna z najważniejszych organizacji opozycyjnych lat komunizmu. W 50. rocznicę jej utworzenia otrzymujemy jej portret złożony z głosów założycieli.

Zbigniew Gluza „Autoportret KOR-u", wyd. Ośrodek Karta, Warszawa 2026, cena 89 zł

Wolno, erudycyjnie, przenikliwie

Zbiór esejów słynnego historyka, napisanych przez niego w latach 60. Jak zwykle u Jasienicy: powolne tempo połączone z niezwykłą erudycją i przenikliwością.

Paweł Jasienica „Tylko o historii", wyd. MG, Warszawa 2026, cena 59,99 zł

Powieść o zmaganiach Batman i Jokera

Znamy Batmana jako bohatera komiksów czy filmów noir. Tym razem otrzymujemy go w wersji powieściowej. Autor rozwija w pełnokrwistą fabułę jego walkę z Jokerem.

John Jackson Miller „Batman. Odrodzenie", wyd. Vesper, Poznań 2026, cena 89,90 zł

Poleca
Agaton Koziński

Gdy Paryż był ikoną sztuki i kultury

Patrząc na sceny, jakie od ponad tygodnia rozgrywają się we Francji, trochę trudno uwierzyć w to, co opisuje ta książka. Francja bowiem płonie. Kolejne miasta pogrążają się w zamieszkach. Nawet w Paryżu codziennością ostatnich dni są starcia uliczne, szarże policjantów na zrewoltowany tłum czy grupy młodzieży budujące barykady z pojemników na śmieci. Tymczasem w książce Sylwii Zientek mamy Paryż zupełnie inny– centrum świata, Mekka artystów wszelkiej maści, którzy ciągną do niego, szukając inspiracji, kontaków, rynku sprzedaży. A przede wszystkim tej niepowtarzalnej atmosfery, jaką Paryż 100 lat temu roztaczał wokół siebie.

Jedną z artystek, które szukały tam szansy, była Maria Mutermilch, znana jak Mela Muter. A może precyzyjniej: nie tyle szukała, co zdecydowanie znalazła. Wyjechała do Paryża zaraz na początku XX wieku i została w nim do śmierci w 1967 r. Tam stała się ikoną stylu malarskiego zwanego École de Paris.

Zientek opisuje precyzyjnie życie Muter, kreśląc przy okazji pejzaż ówczesnego Paryża. Jakże innego od współczesnego.

Sylwia Zientek „Mela Muter. Wierna sobie", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

REKLAMA 0011591377

Kalisz

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA
O DRUGIM PRZETARGU USTNYM NIEOGRANICZONYM

Prezydent Miasta Kalisza

informuje, że

na stronach internetowych Urzędu Miasta Kalisza /www.kalisz.pl/, w Biuletynie Informacji Publicznej /www.bip.kalisz.pl - w zakładce ogłoszenia, sprzedaż dzierżawa nieruchomości/ oraz na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miasta Kalisza Główny Rynek 20, wywieszono ogłoszenie o drugim przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż prawa własności dwóch odrębnych inwestycyjnych, niezabudowanych nieruchomości gruntowych, stanowiących własność Miasta Kalisza, zapisanych w księdze wieczystej KO1E/00006306/5, **położonych w Rusinowie**, gminie Postomino, powiecie sławieńskim, województwie zachodniopomorskim, **oznaczonych w obrębie 0024 Rusinowo** jako:

1) działki nr 55/5 i 56/2 o łącznej powierzchni 2,5960 ha,
2) działka nr 57/2 o powierzchni 1,7948 ha.
przeznaczonych pod **zabudowę pensjonatową domów wycieczkowych i kempingów.**

Nieruchomości stanowią grunt niezabudowany, **położony w odległości około 600 m od plaży Morza Bałtyckiego** oraz posiadający dostęp do utwardzonej drogi gminnej ulicy Wczasowej. Przedmiotowe działki objęte są miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego przyjętego Uchwałą nr XXXVI/327/13 Rady Gminy Postomino z dnia 8 listopada 2013 r. w sprawie uchwalenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego miejscowości Rusinowo pn. „Rusinowo – Zmiana 2012", w którym w bezwzględnej większości powierzchni oznaczone są symbolem A7MTO – tereny zabudowy pensjonatowej domów wycieczkowych i kempingów. W zasięgu ww. nieruchomości znajdują się sieci uzbrojenia terenu, tj.: sieć elektroenergetyczna i sieć wodociągowa w ulicy Wczasowej, sieć gazowa w rejonie ulic Wczasowej i Perełkowej, natomiast sieć kanalizacji sanitarnej usytuowana jest w południowej części działek oznaczonych numerami: 56/2, 57/2. Szczegółowe informacje zostały podane w ogłoszeniu o przetargu.

Przetarg odbędzie się w Urzędzie Miasta Kalisza (62 - 800 Kalisz, Główny Rynek 20), I piętro, sala nr 36, w dniu 15 grudnia 2026 r. o godz. 10.00.

1. Nieruchomość oznaczona jako **działki nr 55/5 i 56/2** o łącznej powierzchni **2,5960 ha:**
   a) cena wywoławcza nieruchomości wynosi brutto **12.792.000,00 zł** (słownie złotych: dwanaście milionów siedemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące 00/100), w tym 23% podatku VAT;
   b) wadium w wysokości brutto **639.600,00 zł** (słownie złotych: sześćset trzydzieści dziewięć tysięcy sześćset 00/100).
2. Nieruchomość oznaczona jako **działka nr 57/2** o powierzchni **1,7948 ha:**
   a) cena wywoławcza nieruchomości wynosi brutto **8.856.000,00 zł** (słownie złotych: osiem milionów osiemset pięćdziesiąt sześć tysięcy 00/100), w tym 23% podatku VAT;
   b) wadium w wysokości brutto **442.800,00 zł** (słownie złotych: czterysta czterdzieści dwa tysiące osiemset, 00/100).

Wadium w odpowiedniej kwocie należy wnieść w pieniądzu na konto Urzędu Miasta Kalisza w ERSTE BANK POLSKA S. A. **nr: 39 1090 1128 0000 0001 5108 9160,** w terminie **do dnia 9 grudnia 2026 r.**

Wszelkich informacji o przetargu udziela się w Wydziale Gospodarowania Mieniem Urzędu Miasta Kalisza, Główny Rynek 20, Ratusz, III piętro, pokój nr 71, tel. 62/76-54-376, e-mail: wgm@um.kalisz.pl.

eprasa.pl 3a1d233d4e

ROZMOWA

Do pierwszych zabiegów kwalifikowaliśmy wyłącznie chorych w sytuacji beznadziejnej

Mira Suchodolska

Rozmowa z prof. Wiesławem Jędrzejczakiem, transplantologiem. Jako pierwszy w Polsce przeprowadził allogeniczny przeszczep szpiku w 1984, a także przeszczep autologiczny.

Minęło 41 lat od pierwszego w Polsce i pierwszego udanego allogenicznego przeszczepienia szpiku, który wykonał Pan 28 listopada 1984 r. w CSK WAM. Cofnijmy się do tamtego dnia. Jak wyglądały okoliczności pierwszego zabiegu?

Realizowaliśmy go w warunkach, które z dzisiejszej perspektywy w ogóle nie przypominają współczesnej transplantologii ani współczesnej medycyny. Nie było leków przeciwwirusowych, przeciwgrzybiczych, nie było dzisiejszych metod immunologicznych – nie znaliśmy antygenów HLA klasy II, typowanie opierało się wyłącznie na klasie I. Brakowało infrastruktury, izolacji, sprzętu. To była medycyna z konieczności improwizowana. Jedynym, czym mogliśmy nadrabiać, były kompetencje i wieloletnie przygotowania.

Niektórzy powiedzieliby, że przeszczep od rodzeństwa to „łatwiejsza" sytuacja niż późniejsze procedury. Ale różnica czasu między osiągnięciami USA a Polską była przecież ogromna – pierwszy udany przeszczep szpiku w białaczce został wykonany w 1971 roku w Seattle, ale przełomem było opublikowanie w 1977 roku serii pierwszych 100 przeszczepień, gdzie rok przeżyło 13 osób za co zresztą Edward Donnall Thomas dostał nagrodę Nobla. Nie wspomnę już o pierwszej próbie z 1938 r., kiedy do tej procedury przymierzył się we Lwowie nasz rodak dr Jan Raszka.

Owszem – ale pamiętajmy, że kiedy my robiliśmy pierwszy przeszczep od dawcy spokrewnionego, na świecie jeszcze nie wykonywano skutecznych przeszczepień od dawców niespokrewnionych. Pierwszy udany taki zabieg w białaczce wprawdzie wykonano w 1980 roku, ale nie było wtedy żadnych rejestrów dawców i te procedury miały się pojawić dopiero kilka lat później.

FOT. NEWSRM.TV - NOWOTWORY KRWI ATAKUJĄ.

Wiesław Jędrzejczak: - Jesteśmy światowym mocarstwem, jeśli chodzi o liczbę dawców. To świadectwo wielkiej społecznej gotowości Polaków do pomagania

Działaliśmy w momencie, gdy dziedzina była w globalnej fazie eksperymentalnej. Ponadto pracowaliśmy w realiach, w których wykonanie przeszczepienia wymagało dosłownego „zbudowania wszystkiego od zera" – klinicznie, laboratoryjnie i organizacyjnie. Nie widzieliśmy takiego zabiegu wykonywanego gdziekolwiek indziej. Wszystkie procedury opracowywaliśmy samodzielnie. Wcześniej ćwiczyliśmy transplantacje na myszach – tylko że mysz jest trochę mniejsza od człowieka, więc cała sztuka polegała na przeskalowaniu wszystkiego tysiąckrotnie.

Czy fakt, że pracował pan w wojskowym szpitalu, miał znaczenie? W PRL krążyła teza, że przeszczepy szpiku mogą być konieczne w razie wojny jądrowej.

To jest ciekawy, a jednocześnie trochę paradoksalny aspekt. Oficjalnie – oczywiście, przeszczepy miały swoje miejsce w planach na wypadek konfliktu nuklearnego. W praktyce robiono wiele, by niczego nie ułatwić.

Nie dostaliśmy dodatkowych etatów pielęgniarskich, nie było finansowania, sprzętu, nic nie przychodziło „z automatu". To były czasy, w których wiele działań prowadzono pozornie. Plany istniały – ale realizacji nikt realnie nie wspierał. Tak naprawdę wszystko było nadrabiane uporem i pomysłowością zespołu.

Bez zespołu zresztą nie byłoby niczego – przeszczep to nie teatr jednego aktora, tylko orkiestra ludzi, którzy muszą działać precyzyjnie, równolegle, wieloetapowo. Na końcu, po wykonaniu 9 zabiegów po których do dzisiaj (40 lat później) żyją 3 osoby, zespół został administracyjnie zlikwidowany. Tyle, że technologia była już opracowana. Było to 8 lat wcześniej, niż podobny zabieg wykonany w Związku Radzieckim, a właściwe już wtedy w Rosji. I była to najprawdopodobniej pierwsza sytuacja na świecie, kiedy nowemu zespołowi udał się od razu pierwszy zabieg.

Pierwszą pacjentką była sześcioletnia dziewczynka. Jak trafiła do pańskiego zespołu?

Hematolodzy zajmujący się dorosłymi pacjentami w tamtym czasie generalnie nie wierzyli w tę metodę, więc nie kierowali do nas pacjentów. Natomiast hematolodzy dziecięcy traktowali sprawę inaczej – i ta pacjentka została skierowana do nas z Poznania, od prof. Urszuli Radwańskiej, która była twórczynią polskiej szkoły onkohematologii dziecięcej. Dziewczynka miała bardzo rzadką chorobę – zespół Diamonda-Blackfana. Nie miała od urodzenia własnych krwinek czerwonych, otrzymała już 60 transfuzji, zaczynała się u niej rozwijać marskość wątroby z powodu przeładowania żelazem. To był ostatni moment na jakiekolwiek działanie. Na świecie wcześniej wykonano tylko jeden zabieg w tej chorobie. Ryzyko było ogromne, ale brak przeszczepienia oznaczał pewną śmierć. Do dziś ta pacjentka żyje. I od tamtego czasu nie wymaga transfuzji. Mam z nią kontakt. To największa nagroda.

Podobno wcześniej były już dwie próby podejścia do takiego przeszczepu, ale pacjenci zmarli, zanim udało się do nich dotrzeć.

Tak. Myśmy celowo kwalifikowali do pierwszych zabiegów wyłącznie chorych w sytuacji beznadziejnej – żeby nikomu nie skrócić życia eksperymentalną metodą. Pamiętajmy, że w takich chorobach – bez leczenia – rokowanie było zerowe. To nie jest metafora. To była pewna śmierć.

Wracając do świata – jak wyglądał kontekst historyczny? Kiedy przeprowadzono pierwsze przeszczepy globalnie?

Eksperymenty zaczęły się w latach 50. Edward Donnall Thomas był pierwszy uzyskując krótkotrwałe przeżycie u bliźniaków jednojajowych, potem francuski profesor George Mathé wykonywał pierwsze nieudane procedury przeszczepienia szpiku od dawców niespokrewnionych u pacjentów po napromienieniu w wypadku elektrowni jądrowej – to było działanie na zasadzie „emergency", ale stworzyło fundament. Jednak tak naprawdę masowe przeszczepienia od niespokrewnionych dawców to dopiero wiek XXI. Wcześniej nie istniały rejestry, a zgodnych dawców znajdowało się wyjątkowo. W tym sensie – nasz zabieg w 1984 r. mieścił się w pionierskiej fazie światowej transplantologii.

Mimo trudności PRL bardzo chętnie eksponował sukcesy transplantacyjne. Dlaczego?

Tak naprawdę przebił się dopiero prof. Religa. O ile wiem na naszą działalność był zapis cenzorski i do publicznej wiadomości to się przedostało pewnym fortelem dwa lata po fakcie. Władze postanowiły „ocieplić" wizerunek wojska i zrobić wywiady z młodymi zdolnymi oficerami. Mój współpracownik, wtedy kpt dr med. Cezary Szczylik, dostał polecenie udzielić wywiadu tygodnikowi „Polityka" i powiedzieć co robi. I powiedział: „przeszczepiliśmy szpik".

Jednocześnie – paradoks – praktyczne wsparcie było minimalne. Deklaracje były polityczne, ale rzeczywistość organizacyjna pozostawała taka, jak była. Właśnie dlatego wiele osiągnięć tamtej epoki zawdzięcza się bardziej determinacji zespołów niż systemowi.

Jakie były rokowania pacjentów w czasach pierwszych przeszczepów?

W ostrych białaczkach – praktycznie żadne. Mówimy o kilku tygodniach, kilku miesiącach życia. W chorobach wrodzonych – zależnie od typu – albo natychmiastowa śmierć, albo powolne wyniszczenie organizmu, jak u naszej pierwszej pacjentki. Transfuzji nie można podawać w nieskończoność. Organizm nie toleruje tak dużego przeładowania żelazem – narządy ulegają uszkodzeniu. Przeszczepienie był jedyną szansą.

A jak jest dzisiaj? Jakie są rokowania pacjentów wymagających przeszczepu?

W ostrej białaczce szpikowej – około 50 proc. chorych można wyleczyć. To ogromny postęp. Ale przeszczep to metoda agresywna, obciążona ryzykiem powikłań i śmiertelnością wynikającą z samej procedury. Trzeba być w dość dobrym stanie ogólnym, by ją przeżyć. U osób starszych wielochorobowość to poważne ograniczenie – choć obecnie wykonuje się przeszczepienia także u siedemdziesięciolatków. Najstarszy mój pacjent miał 76 lat i przeszedł zabieg od dawcy niespokrewnionego z dobrym skutkiem. Gdybym ja zachorował na białaczkę – a mam 78 lat – zdecydowałbym się na przeszczepienie.

Polska hematologia dziś – w czym jesteśmy mocni?

W wielu obszarach, ale szczególnie w transplantacjach. Wykonujemy ponad 2 tys. przeszczepień rocznie, mamy ponad 20 ośrodków, które to robią. Powstały banki komórek krwiotwórczych, centra typowania, profesjonalne rejestry. I najważniejsze: jesteśmy światowym mocarstwem, jeśli chodzi o liczbę dawców. Piąte miejsce na świecie 2,3 miliona dawców – przed Indiami czy Chinami. Zawdzięczamy to w dużej mierze działalności fundacji DKMS, która utworzyła w Polsce filię – ale to również świadectwo wielkiej społecznej gotowości Polaków do pomagania.

Czy nowe terapie, jak CAR-T, mogą kiedyś wyeliminować przeszczepienia szpiku?

W medycynie tak to działa: nowe metody stopniowo wypierają starsze. Tak już jest. Kiedyś głównym wskazaniem do przeszczepienia była przewlekła białaczka szpikowa – dziś 90 procent tych zabiegów zniknęło dzięki terapiom celowanym. Ale pojawiły się nowe wskazania. Czy przeszczepy znikną całkowicie? Pewnie nie od razu. To trudna, ryzykowna metoda, którą stosujemy tylko wtedy, gdy choroba jest gorsza od leczenia. Ale nowe terapie – w tym CAR-T – sukcesywnie zmniejszają liczbę sytuacji, w których przeszczepienie jest jedyną opcją. Zresztą CAR-T to też forma przeszczepienia.

A czego polskiej hematologii brakuje?

Systemu, który nadążałby za rosnącą liczbą pacjentów. Nasze sukcesy sprawiły, że wiele chorób ostrych zamieniło się w przewlekłe. Pacjent, który kiedyś korzystał z jednego pobytu w szpitalu i umierał, dziś żyje dziesięć lat i potrzebuje pięćdziesięciu pobytów w szpitalu. To ogromna presja. Społeczeństwo się starzeje, a białaczki i nowotwory mielodysplastyczne są chorobami wieku senioralnego. W ciągu 20 lat liczba hematologów się podwoiła – a mimo to nie nadążamy za spiralą potrzeb. To jest największe wyzwanie na przyszłość. (PAP)

eprasa.pl 3a1d233d4e

CZYTELNIA

Paweł Jasienica snuje myśli dziejowe

W latach 1956-1961, na łamach ówczesnych miesięczników i kwartalników takich jak „Twórczość", „Przegląd Kulturalny", „Nowa Kultura", ale też „Kultura i Społeczeństwo", Paweł Jasienica zamieszczał eseje na temat historii.

To był bardzo owocny czas w jego życiu. W 1955 r. dostał w Warszawie dwupokojowe mieszkanie przy ul. Dąbrowskiego i zaczął regularnie publikować. Równo o ósmej „zasiadał do maszyny i do godziny czternastej, czyli do obiadu, pisał, robiąc krótkie przerwy na kawę" – jak wspomina jego córka.

Pisał barwnie, nie szczędząc anegdot, a jego unikalne podejście do historii wolne jest od akademickiej drętwoty, choć zawsze oparte na solidnych podstawach źródłowych.

Tezę, która przyświecała Jasienicy, streścić by można tak: dyskusja o minionych wydarzeniach to nie jałowe spory, lecz fundament dla budowania świadomego społeczeństwa. To lekcja krytycznego myślenia i odwagi w stawianiu trudnych pytań, niezbędna każdemu, kto pragnie zrozumieć współczesną Polskę.

Jak teksty o Cyceronie, staropolskiej sztuce wojennej czy wojnach z Chmielnickim choć trochę mogą w tym pomóc? To zrozumie każdy, kto będzie miał odwagę do nich zerknąć.

Paweł Jasienica, „Tylko o historii", wyd. MG, Warszawa 2026, cena 59,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Magdalena Narożna

Łapie słońce

Gwiazda disco-polo niedawno wzięła ślub z przyjacielem ze szkolnych lat – Krzysztofem Romaniukiem. Teraz para świeżo upieczonych małżonków wybrała się w podróż poślubną. Zakochani zameldowali się w luksusowym resorcie w Turcji, czym oczywiście nie omieszkali pochwalić się w social mediach. Na instagramowym profilu artystki zaroiło się od romantycznych ujęć: widzimy małżonków przytulających się w hotelowej altanie, Narożną prężącą opalone ciało w bikini w kropki nad basenem oraz wieczorne randki przy suto zastawionym stole. „Jeszcze chwilę temu ślubne emocje, a dziś już łapiemy słońce i cieszymy się czasem tylko dla siebie. Dobrze jest na chwilę zwolnić i po prostu pobyć razem" – napisała wokalistka.

Izabela Janachowska

Zebrała gratulacje

Celebrytka poinformowała w swych social mediach, że urodziła drugiego synka. Na jej Instagramie pojawiła się seria zdjęć prosto ze szpitalnej sali, które opatrzyła podpisem: „Pierwsze chwile razem. Chcę je zapamiętać na zawsze". Na fotografiach widać intymne chwile z życia świeżo upieczonych rodziców – uśmiechniętą mamę z wenflonem na dłoni, tatę czule trzymającego maluszka za paluszek oraz dumnego starszego brata, siedmioletniego Christophera Alexandra, który ostrożnie tuli braciszka zawiniętego w błękitny rożek. Nie zabrakło również kwiatów – mąż wręczył żonie bukiet czerwonych róż, a syn mamie niebieską wiązankę. Pod wpisem posypała się lawina gratulacji od internautów i znajomych z show-biznesu.

Maja Bohosiewicz

Zaczyna się wykolejać

Kiedyś chciała być aktorką, ale z czasem zamieniła się w internetową influencerkę. Aby przykuć uwagę fanów, nieustannie podróżuje po świecie. Teraz okazuje się, że dało jej to w kość. Po powrocie z Hiszpanii wrzuciła do internetu gorzki wpis, w którym narzeka na nadmiar wrażeń. „Jestem zwyczajnie zmęczona, przebodźcowana, ilość rzeczy, które się dzieją zawodowo, jest dla mnie nie do ogarnięcia, zaczynam się wykolejać na najprostszych rzeczach. Jak słyszę zdanie: »Musisz zdecydować, musisz zaakceptować, musisz«, to czuję taki ścisk w żołądku, który podchodzi mi aż do krtani. To nie są trudne rzeczy, to jest po prostu mnogość rzeczy" – napisała.

FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Helena Englert wystąpiła w „Tańcu z gwiazdami" ze swoim słynnym ojcem. Przed występem ojciec i córka zaprosili kamery na spacer

Michał Wiśniewski

Ma dobre relacje

Podczas niedawnej rozprawy rozwodowej Pola Wiśniewska pojawiła się w sądzie uzbrojona w pokaźny stos dokumentów, a jej prawniczka jasno zapowiedziała, że proces będzie długi i skomplikowany. Choć lider Ich Troje próbował rozładować napięcie i na powitanie pocałował żonę w czoło, celebrytka pozostała niewzruszona. Tabloidy uznały więc, że rozwód z piątą żoną będzie najtrudniejszym w biografii piosenkarza. Tymczasem Wiśniewski zaprzeczył tym wizjom, mówiąc w rozmowie z „Faktem": Ja z Polą cały czas rozmawiam. Mam z nią bardzo dobre relacje w kontekście tego, że nie ma serialu „mąż i żona", tylko jest serial „mama i tata" i on zawsze będzie trwał. Tak było bardzo podobnie zresztą w moich poprzednich relacjach. I dlatego te dzieci są tak dobrze wychowane – podsumował.

Ewa Farna

Podjęła decyzję

Osiem lat temu piosenkarka wyszła za mąż za gitarzystę swojego czeskiego zespołu – Martina Chobota. Potem para doczekała się dwójki dzieci. W sobotni wieczór na instagramowym profilu wokalistki pojawiło się oświadczenie, które w mgnieniu oka zelektryzowało jej fanów. „Po prawie 20 latach przyjaźni i 13 latach wspólnego życia kilka miesięcy temu podjęliśmy decyzję o rozstaniu. Pozostajemy kochającymi rodzicami i rodziną, która na zawsze będzie nas łączyć. Ostatnich parę lat staraliśmy się znaleźć sposób, by znów czuć się dobrze razem. Czasami jednak sprawy układają się inaczej niż sobie wyobrażaliśmy i mimo wszelkich starań związek przestaje funkcjonować" – napisała piosenkarka.

Helena Englert

Szanuje swojego ojca

Młoda aktorka wystąpiła w ostatnim odcinku „Tańca z gwiazdami" ze swoim ojcem. Słynny aktor pokazał na parkiecie poczucie humoru i zatańczył ognistego rock and rolla. Przed występem ojciec i córka zaprosili kamery Polsatu na spacer po warszawskiej Starówce. Przy okazji opowiedzieli o wzajemnych relacjach. – Między nami jest 57 lat różnicy, więc reprezentujemy dwa absolutnie przeciwległe pokolenia, które nie mają za sobą za wiele wspólnego. (...) Jesteśmy oboje bardzo zarozumiali, natomiast poza tym wszystkim potrafimy się śmiać z siebie samych i chociaż nie zgadzamy się w bardzo wielu kwestiach, to wydaje mi się, że to jest relacja oparta na szacunku wzajemnym – powiedziała Helena.

Anna Lewandowska

Trenowała w sklepie

Nie od dziś wiadomo, że dla żony kapitana naszej piłkarskiej reprezentacji najbardziej liczy się forma. Dlatego dba o nią każdego dnia. Nie przeszkadza jej w tym nawet przeprowadzka do Chicago. Ostatnio celebrytka zamieściła w internecie nagranie, na którym zademonstrowała popis swej kreatywności podczas wizyty w popularnej amerykańskiej sieciówce. Buszując między działami z dekoracjami i rzeczami dla dzieci, zapakowała wielki wózek koszami, tekstyliami i ubraniami. – Nie mogłam dokończyć treningu, bo mój mąż wraca do domu wcześniej niż planował i musimy skończyć przeprowadzkę, więc... – podpisała wideo, na którym w dżinsach i sneakersach robi głębokie wykroki na środku sklepu, pchając przed sobą załadowany po brzegi wózek.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Działaj odważnie, lecz słuchaj intuicji. Horoskop dzienny zapowiada, że mały krok otworzy przed Tobą nową drogę.

Ryby (19.02 - 20.03)
Spokój będzie Twoją siłą. Horoskop na dziś radzi nie przyspieszać spraw, które potrzebują czasu.

Baran (21.03 - 19.04)
Czeka Cię ciekawa rozmowa. Horoskop dzienny na piątek mówi, że słowa mogą przynieść pomysł, który odmieni Twoje plany.

Byk (20.04 - 20.05)
Zadbaj o siebie i bliskich. Horoskop dzienny wróży, że ciepła rozmowa przywróci Ci spokój.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Twoja pewność siebie przyciągnie uwagę. Horoskop na dziś podpowiada wykorzystać ją mądrze, ale zostawić też miejsce innym.

Rak (22.06 - 22.07)
Szczegół okaże się bardzo ważny. Horoskop dzienny na piątek radzi uporządkować priorytety.

Lew (23.07 - 22.08)
Poszukaj równowagi między obowiązkami a odpoczynkiem. Horoskop dzienny wróży, że serce podpowie dobrą decyzję.

Panna (23.08 - 22.09)
Nie ukrywaj zamiarów. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że szczerość otworzy drzwi do relacji, których potrzebujesz!

Waga (23.09 - 22.10)
Nowa wiadomość pobudzi do działania. Nie bój się zmiany. Horoskop wróży, że przyniesie ona energię.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Wytrwałość przyniesie efekty. Horoskop na dziś podpowiada, by zaufać planowi i nie przejmować się małymi opóźnieniami.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Nietypowy pomysł będzie strzałem w dziesiątkę. Horoskop na dziś radzi dać szansę swej kreatywności.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Intuicja wskaże Ci dobry kierunek. Horoskop dzienny na piątek sugeruje zwolnić i zauważyć znak, który pojawi się obok.

eprasa.pl 3a1d233d4e

taniec towarzyski
słodki alkohol
włókno z celulozy
handlowy pośrednik
pnącze
folia pod pieluszką
dawna taktyka walki jazdy
przód męskiej koszuli
przypisy autora, objaśnienia
pędzi na sygnale
ignorant
starogrecki instrument
gruba zasłona
Indianie z powieści Maya
wiązka chrustu
zajęczy tłuszcz
roślina z chwytnikami
praktyka w firmie
część twierdzenia
nowela Sienkiewicza
kawał
płynie przez Opole
jaź złoty
gotycka róża
szefowa potocznie
sprzęt Igi Świątek
opłata pobierana na granicy
Hector, reżyser
miasto nad Pianą
turecki gmach rządowy
kwiatowa grządka
nakrycie głowy
tytan dźwigający niebo
kloc drewna
pięknie przemawia
pantera lub żbik
rabatowy kwiat
część stolicy Węgier
bukiet z suchych kwiatów
czarny listek w talii kart
buduje gniazdo
świętuje 22 kwietnia
cudowna ... Aladyna
żytnia lub pszenna
szkolne lokum
rodzaj muzyki
broń Robin Hooda
piłka w bramce
kobiece okrycie z peleryną
wawrzyn dla czempiona
graficzny znak firmy
„piłka" do kometki
hazardowa gra w karty
pełzak z niby-nóżkami
wyspy koralowe
strój Hinduski
trunek bosmana
okrycie dla siwka
płucny zabieg
alotropowa odmiana tlenu
preparat kosmetyczny
kamień półszlachetny
ryba morska, podeszwica
duchowny w cerkwi
czule o rodzicielce
majątek, mienie
marka Opla
pora dnia
faworyty
turecka łódka
starogrecka moneta
rywal „Ixi"
Egon, gangster
rybi tłuszcz bogaty w jod
uderza z jasnego nieba
letni kapelusz
dawny załącznik
gaz o ostrej woni
rzadko zabiera głos
Nb dla chemika
ryba słodkowodna
wiśnia z Barbadosu
ustrój dawnej Rosji
szachowy pat
przyjaciel Toli
przewozi pasażerów
wózek na budowie
połajanka, reprymenta
małżonka Warsa
zawilec w ogrodzie
trunek, alkohol
„..... Walewska"
dawna nazwa czołgu
handluje gazetami
futerał na pistolet
broń drzewcowa
chory na dychawicę
lemur lub wyrak
twórca „Śniadania na trawie"
Anna z powieści Lwa Tołstoja
opera Bizeta
tybetański ssak
waluta Korei Południowej
kuchenne siekierki
materiał klejony lepikiem
stolica Ghany
nocne widziadło
pokarm dla kotów
syn króla Priama
skała podobna do granitu
charakterystyka postaci
odblask pożogi
kończyna górna
wiersz miłosny
syn Posejdona i Libii
dłużnik wekslowy
powolny chód gniadego
klasztor pustelników
taniec latynoski
litera w alfabecie Morse'a
Rzym dla Włoszki
metropolia Jemenu
jaki pan, taki ...
złoty do zrobienia
roślinny motyw dekoracyjny
siała mak
łóżko dla mata
jednostka masy
oficer w wojsku tureckim
powyżej kolana
interwał muzyczny
bilet loteryjny
duży antałek
domowe „ognisko"
impreza w ambasadzie
glina morenowa
sawanna w dorzeczu Orinoko
sprzęt lekkoatletyczny
minerał, odmiana agatu
pływający znak
część spłaty kredytu
atak szału
polski herb szlachecki
tlenowy dla nurka

AUTOPROMOCJA 0110990366

Przy sobocie...
rozwiązuję
krzyżówki
i rozwijam umysł

Nowe wydanie sobotnie
„Głosu Dziennika Pomorza"
już jutro.
Zapraszamy do lektury

SŁOWNIK: ACEROLA, AGENOR, ANKLAM, AKSAK, AZAR, LLANOS, KARAKOL, SJENIT, TILIT.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: myśl Władysława Grzeszczyka.

ROZWIĄZANIE: OTWARTE RĘCE SĄ PRZEWAŻNIE PUSTE.

eprasa.pl 3a1d233d4e

PIŁKA NOŻNA

Wycenili Pietuszewskiego. Nowa wartość zwala z nóg

Jakub Jabłoński

Można złapać się za głowę. 18-letni Oskar Pietuszewski został właśnie wyceniony przez CIES Football Observatory. Analitycy opublikowali ranking najbardziej wartościowych piłkarzy występujących poza najlepszą piątką lig europejskich, a polski skrzydłowy z FC Porto uplasował się na pierwszym miejscu tego zestawienia.

FOT. SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS

Sugerując się tylko wycenami CIES Football Observatory, kibice nie powinni obawiać się ogłoszenia końca kariery przez Lewandowskiego

Reprezentacja Polski podczas ostatniego zgrupowania rozczarowała, przegrywając dwa mecze ze Szwecją oraz Bośnią i Hercegowiną, a wygrywając tylko z Rumunią. Ale nas cieszyć może fakt ekspresowego rozwoju polskich talentów, które już podbijają zagraniczne ligi. Przykłady? Nie ma obecnie wyżej wycenianego – czyli bardziej wartościowego - w swojej kategorii wiekowej od Oskara Pietuszewskiego.

Polski skrzydłowy, który zimą przeszedł z Jagiellonii do FC Porto za 8 milionów euro z łatwymi do spełnienia bonusami, został wyceniony przez analityków CIES Football Observatory na prawdziwą fortunę w porównaniu do reszty piłkarzy do lat 20 spoza najsilniejszych europejskich lig. Już teraz 18-latek ma być wart według autorów zestawienia 56,3 mln euro. Skąd aż tak wysoka wycena?

Wydaje się, że trochę na wyrost wyceniono uzdolnionego skrzydłowego, biorąc pod uwagę jego występy w trwającym sezonie. Zwłaszcza jeśli spojrzymy na fakt, że Pietuszewski zdążył w tej kampanii zagrać tylko raz w lidze portugalskiej. Z pozostałych meczów wykluczyła go kontuzja. Inna sprawa, że w poprzednim sezonie zachwycił. Piłkarz, który w maju tego roku osiągnął pełnoletność, wszedł z futryną do składu portugalskiego giganta. Rozegrał 16 meczów, w których zdobył 3 gole oraz zanotował 4 asysty, pomagając drużynie Francesco Fagioliego odzyskać mistrzowski tytuł po czterech latach.

W pierwszej setce cytowanego zestawienia znalazło się miejsce dla jeszcze dwóch naszych utalentowanych graczy. Są nimi Bartosz Mazurek z RB Salzburg (wyceniona wartość: 15,1 mln euro), który zadebiutował ostatnio w młodzieżowej reprezentacji i od razu zdobył dwie bramki w narodowych barwach, oraz środkowy obrońca Lecha Wojciech Mońka (14,1 mln euro).

Dla porównania: najdrożej wycenianym polskim piłkarzem według portalu branżowego „transfermarkt.de" wciąż pozostaje klubowy kolega Pietuszewskiego z FC Porto i podpora reprezentacji Polski na środku obrony, 26-letni Jakub Kiwior (40 mln euro). Dopiero drugi jest w tym zestawieniu Oskar, którego serwis wycenia znacznie niżej od analityków z CIES Football Observatory (25 mln), a na 3. miejscu uplasował się Matty Cash z Aston Villi (22 mln).

Najdroższym piłkarzem z PKO BP Ekstraklasy pozostaje wspomniany już 19-letni Mońka (10 mln euro według „transfermarktu"), który został okrzyknięty najlepszym środkowym obrońcą minionego sezonu oraz wielkim odkryciem Lecha Poznań.

Po drugiej stronie bieguna znajdują się m.in. Karol Świderski czy Przemysław Wiśniewski. Dwaj reprezentanci Polski zdecydowali się na powrót do rodzimej ligi i reprezentują aktualnie barwy Widzewa Łódź. Wskutek słabszych występów i fatalnej ostatnio formy największy spadek w całej polskiej ekstraklasie zaliczył 29-letni Świderski, którego aktualna wycena to już nie 4,5 miliona, a 2,5 mln euro.

PIŁKA NOŻNA

Reprezentantki Polski walczą od dziś o mistrzostwa świata. Na początek gramy z Belgią

Zbigniew Czyż

Biało-Czerwone zaczynają walkę w barażach o awans do finałów mistrzostw świata 2027 w Brazylii. Rywalkami Polek w pierwszej rundzie będą Belgijki.

W ubiegłym roku Biało-Czerwone zadebiutowały w mistrzostwach Europy w Szwajcarii, teraz chcą awansować na mistrzostwa świata. Nie będzie to jednak łatwe zadanie, bo trzeba wygrać dwa dwumecze w barażach. Co więcej, nawet jeśli Polki tego dokonają, niewykluczone, że w przyszłym roku będą musiały rozegrać jeszcze baraż interkontynentalny. Na mundial w Brazylii zakwalifikuje się 11 lub 12 drużyn z Europy.

Faworytkami barażu między Polkami i Belgijkami będą te drugie, które w rankingu FIFA zajmują 19. miejsce. Podopieczne selekcjonerki Niny Patalon klasyfikowane są na 29. lokacie. – Belgia to jakościowy i dobrze zorganizowany zespół, z dużym doświadczeniem międzynarodowym. Chce grać w piłkę, dobrze wykorzystuje przestrzenie i ma kilka zawodniczek, które potrafią indywidualną jakością zdecydować o przebiegu spotkania. To rywal na naszym poziomie, dlatego spodziewam się dwóch bardzo wyrównanych spotkań, w których mogą decydować detale – powiedziała Nina Patalon dla portalu Łączy nas Piłka.

Polska mierzyła się z Belgią w eliminacjach mistrzostw świata 2023. W Gdańsku padł remis 1:1, w rewanżu Biało-Czerwone uległy 0:4.

Piątkowy mecz w Leuven rozpocznie się o godzinie 20.15. Rewanż odbędzie się we wtorek, 13 października, o godz. 18.00 w Gdańsku. Jeśli drużyna trenerki Patalon wygra to starcie, w drugiej rundzie baraży zmierzy się ze zwycięzcą dwumeczu Irlandia – Kazachstan.

W meczach z Belgią nie zagrają kontuzjowane Kinga Szemik z HSV Hamburg i Jagoda Cyraniak z Olympique Marsylia. Selekcjonerka Patalon w ich miejsce powołała Natalię Radkiewicz z FC Nantes i Julię Walentowicz z KIF Oerebro.

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI/POLSKA PRESS

Ewa Pajor ma wielki apetyt, aby błyszczeć nie tylko w klubie. Koleżanki z kadry poprowadziła już do awansu na Euro. Teraz pora na mundial?

TENIS

Świątek gra dziś o półfinał w Pekinie. Hurkacz z awansem w Szanghaju

Zbigniew Czyż

Hubert Hurkacz awansował do drugiej rundy tenisowego turnieju ATP Masters 1000 w Szanghaju. W 1/64 finału Polak pokonał reprezentanta Australii Jamesa Duckwortha 6:3, 7:6. Dziś w ćwierćfinale turnieju w Pekinie gra Iga Świątek.

Hurkacz (34. ATP) wygrał dwa wcześniejsze starcia z Australijczykiem (64. ATP) w ćwierćfinale w Paryżu w 2021 roku oraz trzy lata później w 1/8 finału w Halle. W pierwszym secie Polak był bardzo solidny praktycznie we wszystkich elementach, a tę partię zamknął asem serwisowym.

Druga odsłona pojedynku była zdecydowanie bardziej wyrównana. Zawodnicy nie wypracowali ani jednej okazji na break-pointa. O końcowym sukcesie Wrocławianina przesądził tie-break wygrany 7-4.

W kolejnej rundzie Hurkacz zmierzy się z 24-krotnym mistrzem wielkoszlemowym Novakiem Djokoviciem (11. ATP), który we wtorek sięgnął po tytuł w Pekinie. Serb w pierwszej rundzie miał wolny los. W ośmiu dotychczasowych spotkaniach między Hurkaczem i Djokoviciem wszystkie wygrał pochodzący z Belgradu tenisista. Ostatni mecz z ich udziałem został rozegrany w maju 2025 roku w finale imprezy w Genewie. Wtedy polski zawodnik przegrał po przeszło 3 godzinach rywalizacji.

Na pierwszej rundzie zmagania w Szanghaju zakończył Kamil Majchrzak, który w trwającym trzy godziny i 12 minut meczu uległ Niemcowi Yannickowi Hanfmannowi 7:6 (7-4), 6:7 (3-7), 6:7 (7-9). Wszystkie 36 gemów wygrywał zawodnik serwujący, tym samym w każdym z setów potrzebny był tie-break.

Iga Świątek w ćwierćfinale tenisowych zmagań w stolicy Chin zmierzy się dziś z Elise Mertnes. W 1/8 finału Raszynianka (9. WTA) wygrała z Amerykanką Ivą Jović 6:1, 6:3. Był to 147. zwycięski mecz Świątek w turniejach WTA 1000. Więcej wygranych mają na koncie tylko Amerykanka Serena Williams – 148 oraz Białorusinka Aryna Sabalenka – 156. Belgijka (19. WTA) pokonała z kolei niespodziewanie Amerykankę Coco Gauff 6:3, 6:3. Dotychczasowy bilans pojedynków Świątek z Mertens to 2:0 dla Polki.

Była liderka światowego rankingu jest ostatnią polską tenisistką, która uczestniczy w singlowych zmaganiach w Pekinie. W 1. rundzie odpadły Katarzyna Kawa i Magda Linette, a w 2. Magdalena Fręch oraz Maja Chwalińska, która rywalizuje jeszcze w deblu.

eprasa.pl 3a1d233d4e